

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 30 MARCA 1929 ROKU

NR. 13

TREŚĆ NUMERU: Wchodzimy w okres wiosny — N. J. O reformie szkoły średniej ogólnokształcącej dla dziewcząt — Z. Iwaszkiewiczowa. Poezje: „Wiersz o Zmartwychwstaniu“ — Lucyna Krzemieniecka. „Sol invictus comes“ (c. d.) — Zofja Reutt-Witkowska. Skłamanie szczęście (c. d.) — M. H. Szpyrkówna. „Mi-Carême“ — J. Putiatycz-Surynowa. Cecylja Walewska — Z. Zawisanka. „Plastycy wileńscy“ w „Zachęcie“ — I. j. Z teatrów — S. P. O. Kobieta w świecie i w domu — N. J. Ogniska kobiece we Francji — M. D. My i drudzy — J. N. Najmilsi towarzysze — J. S. Ciekawy przepis — Anna W. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Bluzki do kostjumów — Well. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — R. Hichens. Arkusz wzorów.

*Wszystkim naszym Czytelniczkom, Współpracowniczkom i Przyjaciółom
naszego pisma przesyłamy serdeczne życzenia:*

„Wesołego Alleluja“!

WCHODZIMY W OKRES WIOSNY

Słowa te zawsze radosne i zawsze wlewające otuchę, w tym roku mają dla nas większy jeszcze urok, niż kiedykolwiek.

Wczesne święta Wielkiej Nocy przyspieszyły jeszcze nastrój wiosenny, na każdym kroku moc kwiatów, milutkie, kędzierzawe główki hiacyntów pachnących, jak samo źródło wiosny, poważne laki, pstre cynerarje, pęki palm i złotych baziak wierzbowych, wszędzie przygotowania świąteczne, pracowite, kłopotliwe, lecz miłe zabiegi — porządki, ciasto, przyjazd członków rodziny, ferje świąteczne — trochę wypoczynku i wesela.

A gdy święta przeminą, rozpoczną się wówczas już naprawdę długie, prawdziwie wiosenne dni.

Każdy z nas przyjmie je z radością. Dla mieszkańców miast zaznaczą się one powrotem do zwykłych warunków pracy z nadzieją na zbliżające się wakacje i urlopy, dla tych, co na wsi spędzają życie, znaczyć będą okres wzmożonej działalności ruchu i zabiegów. Wszystko to jednak będzie miłe i łatwe w otoczeniu ciepła, słońca i zieleni.

Możemy otworzyć naroścież okna, zasadzić nawet my, biedne mieszcuchy — trochę kwiatów, ubrać sobie mieszkanie świeżo rozkwitłymi gałązkami i pójść

na daleki spacer do parków, albo w pola, popatrzeć na odrodzenie natury.

Jakby to dobrze było, gdybyśmy chcieli wniknąć głębiej w jej mądrość odwieczną, choć zawsze przemienne, zespolić się z nią i wziąć z niej wzór, aby oprzeć na nim swoje życie, psychiczne i materialne.

Odrodzenie się — to cudowne prawo przyrody, może i powinno nauczyć nas swym przykładem. Wszystko co zeschłe, zlodowaciałe, martwe i nieużyteczne zostaje w przyrodniczym porządku odrzucone, wszystko przybiera świeży kształt, tworzy nowe życie. Postarajmy się iść za tym wielkim wzorem.

Jak martwe gałązki i zeschłe liście, odrzucić możemy nasze niezadowolenia, pesymizm, lenistwo, brak wiary w siebie i drugich, a może też czasem to, co je powoduje — zbyt wysokie wymagania i aspiracje.

Przestańmy wyobrażać sobie, że jesteśmy ośrodkiem życia, czemś, czemu należą się specjalne względy i prawa — jesteśmy częścią, doskonałej może od innych myślącą, wszechświata, poddani jego mądrym, choć tak niezbadanym jeszcze przez nas prawom — mamy szerszy zakres obowiązków — zużytkowania naszej myśli twórczej, dla siebie i otoczenia, dokonania pracy, która nam w udziale przypada. Róbmy to

wszystko z siłą, spokojem i pogodą, tak mądrze, prosto i nieodparcie, jak drzewo okrywa się liściem, jak kwiat rozwija się i przemienia w owoc. Jak kwiat bierzmy ze słońca, wody i czystego powietrza przestrzeni siłę fizyczną, zdrowie i wesele wiosny, a mocą ducha naszego, myślącego i nieśmiertelnego, twórzmy w sobie siłę psychiczną.

Ogarnęło nas zniechęcenie, niezadowolenie z naszej pracy, przynosi nam, naszym zdaniem, zbyt mało korzyści; pewnie albo źle robimy, albo zawiele wymagamy, albo mylnie oceniamy — coś tam musi być uschniętego w tej robocie, czy w nas samych — postarajmy się o świeżą zieleni, o siłę wiosny — ożywi i przemieni nam wszystko.

Mamy troski i kłopoty, a czyż nie widzimy ich w przyrodzie? Czy niema tam burz? Czy chcemy być wyjątkiem? Nawet w nieszczęściu prawdziwym spokój i kontemplacja wielkich praw Bożych są, jeśli nie lekarstwem radykalnym, to ukojeniem — a drobniejsze sprawy? Mamy zamało pieniędzy, czy więcej trudu — chodźmy na słońce!

Martwi nas i drażni nasze otoczenie, sprzeciwia

się nam ktoś, — postarajmy się nie tylko siebie, ale i drugich zrozumieć, dajmy im trochę kwiatów i uśmiechnijmy się do nich — uśmiechną się nam wzajemian i będzie zgoda.

Ogarnia nas nuda, irytacja, zmęczenie? Odpocznijmy latem, dziś każdy pracownik ma już w Polsce ten odpoczynek zapewniony. Wypocząć najgłębiej, duchowo i fizycznie jest lekarstwem zbawiennym. Przyroda wypoczywa zimą, my, choć robimy to w innej porze, bierzmy i w tem przykład z natury, starajmy się wypocząć, jak ona — prosto i zdrowo. Myślmy mniej o doborze ubrań, towarzystwa i zabaw letnich, a więcej o powietrzu, słońcu i zieleni.

Kto ma „kawałek ludzkiej duszy“, temu zdrowe są światło, cisza i przestrzeń. Używajmy jej do syta przez ten — leżący przed nami słoneczny okres wiosny i lata — wtedy, w odwrotnym biegu czasu, ale w tym samym porządku przemiany, jak ziemia wydobywa z ziarn zboża żywiące i radosne kwiaty, potrafimy i my przetworzyć ukryte w głębi ducha pierwiastki, które staną się nam kwiatem i owocem życia.

N. J.



Z. IWASZKIEWIGZOWA

O REFORMIE SZKOŁY ŚREDNIEJ OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ DLA DZIEWCZĄT

II

W zakresie programu nauki w gimnazjum możnaby już dziś wskazać na konieczne zmiany, nim urzeczywistnią się dalsze plany głębokich w szkolnictwie reform (na które oczekujemy). Przedewszystkiem należałoby poddać rewizji materiał naukowy. Życie bieży szybko, wiedza postępuje naprzód, a szkoła w tem tempie nie może im dotrzymać kroku. W epoce wielkich, epokowych nieraz postępów w każdej prawie dziedzinie życia, zastanawia każdego mały stosunkowo postęp w szkolnictwie. Wprawdzie programy szkolne, w miarę postępu wiedzy, starają się zawrzeć w ramach swoich nowe zdobycze nauki, rozszerzając w ten sposób nieraz bardzo znacznie materiał naukowy, ale ten program wciąż jeszcze jest bardzo od życia oderwany, daleki, a obszerna wiedza, którą podajemy młodzieży, często bardzo przewyższa pojemność jej mózgów. Nowe odkrycia w fizyce i w chemji, nowe wymagania w nauce geografji znacznie rozszerzyły programy tych przedmiotów. Nie umiemy sobie jeszcze poradzić z obszernym materiałem naukowym, nie chcemy pogodzić się z tem, że

szkoła średnia musi ograniczyć się tylko do dawania wiadomości ogólnych, za to bardzo dokładnych i dobrane, gruntownie przez uczniów przyswojonych, zwracając za to większą jeszcze, niż dotąd, uwagę na formalne wykształcenie młodzieży, na jej przygotowanie do samodzielnej pracy umysłowej. Nie wyliznam ani przedmiotów, ani tych części ich programu, któreby należało poddać rewizji, wydaje mi się bowiem, że w każdym przedmiocie możnaby dokonać zmian, skrótów, odrzucić niepotrzebny balast, zmniejszyć zakres podawanych wiadomości. Zbyt bowiem obszerny materiał wywołuje niekiedy przeciążenie uczniów, zawsze może być powodem naukowego dyletantyzmu w przyszłości i nie pozwala należycie wyzyskać danego przedmiotu, jako pewnej dyscypliny do kształcenia zdolności umysłowych ucznia. Redukcja programów, to drugi z najważniejszych naszych postulatów. To są może najważniejsze braki współczesnej szkoły średniej ogólnokształcącej, ale są one wspólne zarówno dla gimnazjum męskiego, jak i żeńskiego.

Zjawia się jeszcze przed nami bardzo ważne pytanie, czy nie mamy w Polsce zbyt wielkiej ilości szkół średnich jednego niemal typu. Jeśli z pośród młodzieży, kształcącej się w gimnazjach, które winny być przede wszystkim szkołami, przygotowującymi do wyższych studjów, tylko 18% dziewcząt, a 23% chłopców wstępuje do wyższych zakładów naukowych, a i z tych, którzy wstępują, tylko nieznaczna część uzyskuje dyplomy, jeśli zważymy, że z pośród kończących różne wydziały uniwersytetów bardzo wielu pracować musi w innych zawodach, przeważnie nie wymagających wyższych studjów, bo podaż pracowników przewyższa popyt, to dojść musimy do przeświadczenia, że pęd całego naszego społeczeństwa do wyższych studjów nie jest zjawiskiem zdrowym, i opinia publiczna, której wyraz dawać winna prasa, obowiązana jest energicznie zwrócić się przeciw takim dążeniom w społeczeństwie. Czas już skończyć z tym śmiesznym przesądem, że każdy szkolny urzędnik, a już tembardziej urzędniczka, nawet maszynistka, każda kasjerka — winni posiadać maturę, bo to dopiero wstęp do tych zawodów otwiera. Dziś w każdym najmniejszym mieście prowincjonalnem powstaje gimnazjum, i jakkolwiek mamy dużo szkół zawodowych, lecz państwowe są rzadko rozsiane na prowincji, a miejscowe społeczeństwo, czy prywatne osoby najchętniej zakładają gimnazja, nie zastanawiając się nad tem, że jest to dla znacznej ilości młodzieży „ślepa ulica“, na której przejście użyli wiele lat i energii. To też słusznem się zdaje dążenie do wprowadzenia dwójakiego rodzaju matur: jednej — dającej wstęp do uniwersytetu, a innej — będącej świadectwem ukończenia jakiegoś kursu średniego, czy to po przebyciu mniejszej ilości lat w temże gimnazjum, czy po ukończeniu innego rodzaju szkoły średniej, np. projektowanego już kiedyś liceum. Zdamy sobie sprawę, że opracowanie programu takiej szkoły, ściśle z potrzebami i wymaganiami życia związanej, nie jest rzeczą łatwą, ale sprawa jest ważna i potrzeba jej rozważenia chyba bezsporna.

Zapytuję jednak znowu: czy tylko liceum żeńskie jest potrzebne, czy w równej mierze ta „druga matura“ nie przydałaby się dużej ilości chłopców?

Konieczność dalszego zakładania jak najliczniejszych i najróżnorodniejszych średnich szkół zawodowych, zarówno męskich, jak i żeńskich, dziś już żadnych nie budzi wątpliwości.

Lecz istnieją i istnieć muszą zawody, do których wyższe studia są potrzebne. Dlatego nikt kwestjonować nie może istnienia gimnazjum, jako szkoły średniej ogólnokształcącej, która przygotowuje do studjów akademickich. Ponieważ zaś niema i być nie może oddzielnych szkół akademickich dla każdej płci, ponieważ dziewczęta, zarówno jak i chłopcy, uczęszczają na te same wykłady, biorą udział w tych samych pracach seminaryjnych i laboratoryjnych, podlegają tym samym egzaminom magisterskim i doktorskim. —

więc jedyny stąd wniosek, że muszą mieć to samo przygotowanie w szkole średniej. *A więc gimnazjum żeńskie musi być, jak dotąd, takie samo pod względem programu i metod nauczania, jak i gimnazjum męskie.* Różnice w nauczaniu robót ręcznych, w planie lekcyj śpiewu, nawet ewentualnie wprowadzenie nauki higieny niemowlęcia, czy zasad naukowej organizacji gospodarstwa domowego w czasie, który chłopcy poświęcają na przysposobienie wojskowe, — w niczem tego naszego stanowiska nie zmienia. Każde odchylenie w programie przedmiotów, ogólnie kształcących, każda w tym względzie reforma, o ileby nie dotyczyła w równym stopniu obu płci, *jest niedopuszczalna*, musiałaby bowiem pociągnąć za sobą zupełnie zrozumiałe utrudnienia przy wstępie do wyższych uczelni. Już i obecnie dziewczęta, wstępując na różne wydziały szkół akademickich, natrafiają na rozmaite trudności w postaci stosowanego do nich „*numerus clausus*“, wywołanego przecież nie względami na ich słabe naukowe przygotowanie, ale pragnieniem stworzenia przywileju dalszego kształcenia się i przygotowania do zawodu dla mężczyzn. Chęć zredukowania liczby studentów w wyższych zakładach, wobec wielkiego ich napływu, jest zrozumiała, ale selekcja kandydatów na podstawie przynależności do tej lub innej płci, oparta chyba na nieporozumieniu, że kobiety tylko w niewielkiej liczbie zmuszone są pracować zawodowo — w przeciwieństwie do mężczyzn, pracujących na siebie i na nie. Tymczasem obliczają, że w Polsce koło 80 proc. kobiet pracuje zawodowo. Jest to w tej chwili już nie zagadnienie emancypacji kobiet, — to życiowa konieczność, z którą się liczyć należy. Warunki ekonomiczne po wojnie kwestję tę wszędzie na świecie rozstrzygnęły bez zastrzeżeń i prawdopodobnie na zawsze. Obniżenie zarobków, szczególnie w t. zw. zawodach inteligenckich, nie pozwala jednemu człowiekowi zapracować na utrzymanie rodziny. Pomoc żony w dostarczaniu odpowiednich środków staje się koniecznością. A cóż dopiero mówić o dużej liczbie tych kobiet, które nie wychodzą zamaż, lub po śmierci męża, — czy opuszczeniu przez niego, zostaną same. Czy spadek po rodzicach lub pomoc pracujących krewnych ma im zapewnić utrzymanie? Do jakiego stopnia zawodowa praca kobiet jest dla nich związana z potrzebą wewnętrzną, lub chroniczną koniecznością, świadczy fakt, że, jak wykazuje sumienna statystyka niemiecka, z pośród tych kobiet, które, wychodząc zamaż lub nie mogąc chwilowo sprostać swoim obowiązkom rodzinnym, porzuciły zawód, tylko 25 proc. doń nie wróciło po krótszej lub dłuższej przerwie.

Z konstytucji naszej wynika prawo każdego obywatela do wszystkich zawodów, a więc i kobieta musi mieć otwartą, niczem nie zagrodzoną drogę do wszystkich wyższych uczelni, a najważniejszym na tej drodze etapem jest gimnazjum z takim samym programem, jak męski.

Nie możemy się zgodzić ze stanowiskiem tych, którzy uważają, że „zasada równości praw dla mężczyzn i kobiet do wszystkich zawodów — byłaby nawet szkodliwa“. Teza ta nie da się w żaden sposób utrzymać. Obala ją samo życie, obalają warunki ekonomiczne, które nie pozwalają na segregowanie ludzi do pracy, zależnie od płci, ani na to, by zawody, wymagające wyższych studjów, powierzać tylko mężczyznom, lub zmuszać państwo do zakładania jakichś specjalnych akademij kobiecych. Cóż począć z faktem, że lekarki - higienistki, lekarki w szkołach żeńskich, w szpitalach — są dziś bardzo poszukiwane, że już obecnie niema wątpliwości, iż sędziami w sądach dla nieletnich winny być raczej kobiety: że w pracy laboratoryjnej kobieta - inżynier, lekarz czy farmaceuta przewyższa mężczyznę z tem samem przygotowaniem. Żadna zgóry przyjęta zasada, oparta na najlepszej znajomości odrębności duszy kobiecej, nie tu nie pomoże. Listy zawodów, dla kobiety dozwolonych czy zaleconych, już dziś układać nie można; nie da się szkoły średniej ogólnokształcącej tak zreformować, by do tego zmusiła. Selekcję dokonywa samo życie. Zdrowa konkurencja usuwa poza jego nawias jednostki nieprzygotowane.

Nic dziwnego, że wszędzie zagranicą zmniejszyła się tak bardzo liczba szkół, przeznaczonych specjalnie dla dziewcząt, o niższym poziomie i mniejszym programie, niż szkoły męskie. Tak liczne przed wojną niemieckie „Töchterschule“ i francuskie, écoles des jeunes filles“ dziś są już anachronizmem i jeżeli istnieją, to tylko w celu przygotowania do szkół zawodowych. Nie odpowiadają wymaganiom współczesnego życia, więc muszą zniknąć.

Słyszysz się wprawdzie i teraz często zastrzeżenie, co do wartości pracy kobiet na różnych polach. Przyznać jednak trzeba, że te, słuszne nieraz, zastrzeżenia dotyczą w pierwszym rzędzie kobiet, zawodowo nieprzygotowanych, niedouczonej, dyletantek. Właśnie, by tego uniknąć, by liczba tych kobiet jak najprędzej się zmniejszyła, by ich wogóle nie było, — winniśmy dążyć do podniesienia zarówno ogólnego, jak i zawodowego wykształcenia kobiet na należytych poziomach, nie dopuścić, by miały już w gimnazjum otrzymywać niższe wykształcenie, niż mężczyźni.

Gdyby nawet dało się dla nich pomimo różnic w przygotowaniu, osiągnąć prawo wstępu do szkół akademickich narówni z chłopcami, kończącymi gimnazjum o innym programie, to przecież uniknięcie tej formalnej życiowej trudności nie usuwa pytania: jak one sobie w takim razie będą radzić na wyższych uczelniach, przy obniżeniu programu z różnych podstawowych przedmiotów w szkole średniej? jakże potem te braki wyrównają? Nigdzie nie znajdujemy odpowiedzi, czy projektodawcy tych reform mają na myśli jakieś kursy przygotowawcze, czy klasy uzu-

pełniające, stwarzające niezbędne ogniwo między taką szkołą średnią a uniwersytetem. Jeśli tak, to trudno zrozumieć, jak ta sama dziewczyna, uznana za „niezdolną do przedmiotów teoretycznych“, ta, której inteligencję „cechuje brak zdolności do logicznego myślenia“, mogłaby po wyjściu ze szkoły średniej te zdolności w sobie rozwinać i uzupełnić braki w przygotowaniu do studjów wyższych, jednakowych z mężczyzną?

Dotychczasowe doświadczenie nie dostarcza nam dostatecznych danych do twierdzenia, że dziewczyna nie może sprostać wymaganiom obecnego gimnazjum pod względem fizycznym i umysłowym. Nie ulega kwestji, że naogół to pokolenie młodzieży, które jest obecnie w szkole średniej, czyli t. zw. wojenne, jest słabsze fizycznie, bardziej nerwowe od dawnego; da się to jednak stwierdzić zarówno u chłopców, jak i u dziewcząt. Jednak przypadki energii w wyższych klasach dawnych pensyj żeńskich, w których przecież nikt tak, jak obecnie, na przeciążenie nie narzekał, były o wiele częstsze, niż obecnie, gdy rola właściwego odżywiania, powietrza, sportu, jest należycie oceniana.

Procent matur, otrzymywanych przez dziewczęta w stosunku do liczby abiturjentek klasy 8-ej, nie jest niższy, niż taki sam stosunek u chłopców, choć tematy i zadania niczem się przecież nie różnią.

Znamy wszyscy fakty, gdy gimnazja męskie i żeńskie, w których uczy ten sam nauczyciel, zdają razem egzamin maturalny, że prace dziewcząt są lepsze i to nawet w matematyce, którą zwolennicy reformy uważają przecież za zbyt trudną dla umysłu dziewczęcego. „Brak zdolności do ścisłego rozumowania i do dostatecznego myślenia“, na którym głównie opierają się dezyderaty zmian w programie, więc uniemożliwia dotąd dziewczętom zdobywania w stopniu dostatecznym wymaganych w szkole średniej wiadomości z dziedziny matematyki, fizyki, łaciny. A pytanie, czy właśnie dla rozwinięcia tych brakujących, rzekomo, dziewczętom zdolności, nie należałoby zwrócić jeszcze bacniejszej uwagi na gruntowną naukę tych przedmiotów w szkołach żeńskich, — samo się tutaj narzuca. Obecne metody nauczania, mniej przywiązujące wagi do zakresu zdobywanych w każdej dziedzinie wiadomości, niż do formalnego kształcenia umysłu, do rozwijania pewnych jego cech, w pierwszym rzędzie logicznego myślenia, są przecież jaknajbardziej wskazane do wyrobienia słabiej rozwiniętych władz umysłowych.

Z tego wszystkiego wynika, że w obecnej chwili ani względy pedagogiczne, ani ekonomiczne, ani społeczne nie wymagają zreformowania szkoły średniej żeńskiej ogólnokształcącej.

Co nam przyniesie jutro, gdy staniemy wobec grutownej, poważnie obmyślanej reformy całego szkolnictwa średniego — zobaczymy.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

WIERSZ O ZMARTWYCHWSTANIU

Zmartwychwstałeś nam, Chryste, znowu!
Słyszysz, wita Cię serc naszych salwa,
wielkie miasto lśni kolorowo,
jak otwarty, pstrokaty album.

A nad miastem, na wieżach wysokich,
wolny miatr szeroko się buja
i bierze się, bierze pod boki,
i szumi w głos Alleluja.

A zajaczkę czekoladową
w borówczanych mieszkają domkach
i naimne baranki cukrowe
na pluszowych pasą się łąkach.

Zmartwychwstałeś dla wszystkich, Panie!
Szczęście splywa z Twoich białych dłoni
na dzwon złoty i dzwoneczek blaszany,
który nigdy nie umiał dzwonić.

Wchodzisz, Panie, w samotne podwórza,
gdzie są wiosny nieznające drzema —
w święte dłonie ich serca zanurzasz
i uczysz je kmitnąć i śpiewać.

Chodzisz, Panie, i uśmierzasz płacze
w oczach dzieci, wśród miejskich mycieków,
i patrzysz, jak budują pałace
i jak z gliny brudne babki pieką.

Czumasz, Panie, nad trudem ich świętym,
gdy, schylone nad morzem - kalużą,
papierowe puszczają okręty
w niemożliwe, wysnzione podróże.

Potem, nocą, w ich snach tajemniczych
do błękitów zabierasz je, Chryste,
i jesz z nimi srebrny chleb księżycy,
zmieniasz gwiazdy w baranki złociste.

W Wielką Noc, w Zmartwychwstania święto
chodzisz z sercem otwartym narozcież,
do drzwi pukasz, z wątpieniem zamkniętych,
uczysz sprawy najświętszej — miłości.

Tyle cierpień zostało już w cieniu
usuniętych Twoją wiarą białą.
Tyle już lat odwalasz kamienie,
a tak dużo ich jeszcze zostało!



ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

2)

„SOL INVICTUS COMES“

Z cyklu „Hestia“

— Mistrzu Serapjonie... ostatni więc raz pod tym dachem!... Larg zagadnie, rozumieć dawa, że czas na spoczynek.

— Miły mi ten dach lipowy, bardzo wówny; zwól, że zostanę tak, a zadrzem siedzący, jako starremu zwyczajnie wiekowi. —

Schmurzy się gospodarz.

— Czyń; przystoi bo wola mistrzowi brata starszego... chociaż jako dziecko, jako syn mój nieletek, zaprawdę, cudaczy Firmin!... — żółcia głos nabrzmięwa zapiekłą. —

— Utyskujesz na mnie znów, braciszku! — zarżają się z półcieni księżycowej oczy, światłość tworzące z siebie tę samą, co źrenice Serapjona, jeno nie tyle możną...

— Utyskujesz. — A wrychle zatęsknisz za bratem marnotrawnym, wiem to! niech ino odejdę — z tym — na Wschód!...

— Nie odejdiesz — rzuci się Larg ku bratu nagłą wściekłą bólu...

— Odchodzę skoro świt. Niewinien ja. Bo nakaz mam w sobie: iść. —

— Nie odejdiesz — poblednie Larg w rozjęku bezsiły. —

— Largu, Largu... — koi go głosem najszrebrniejszym mocą, — a za rękę ująć nie śmie jeszcze, by się śnać nie targnął, jako w gniewie wielkim, od żalości. — Przecz byś mię wstrzymywać chciał, niemrawca takowego i niedojdę na ojcowiznie wspólnej — ty gospodarz dobry. — Uśmiechnie się serdecznie, rozpromieni ku myśli swej. — Tobie, Largu, dziedzictwo całe po wsze czasy zostawiam...

Żachnie się ów: — Ba! Na złodzieja kierujesz mnie!! Dobrem braterskiem paść mi się każesz! — co — mało mam swego! Zaś! —

— Cyt, — cyt, — cyt, — uśmiechnął się w odwet nieprzebranie, białym kwiatem narcyza, uszczkniętym w przelocie, miga na złość tę szumną... — Największe bo dobro sobie zabieram, nie pytaj.

Słupieje ów... niepokoi się... spodełba zerknie...

— Cichutki, radości pełen bądź, jako i dom twój oto cały, Largu: biorę bo dobro, którego i nie odbieram nikomu: Swobodę. — Zadumą głos srebrną dzwoni — drga — jako promieni snop o toń czarną stawu załamany. —

— Ach! — uniesie się Larg. — Zapomniałem w tem piosenki waszej, ośpiewanej tak, że uszy bola!

— Odpczną uszy twoje po nas, kochany; wypisz się tu za oboje — przejmie w tem rzecz Sera-

pjon, rozkazem nagłym godząc: — Siadź! pobiesiadaj z nami wonią lip; ostatni to wszak wieczór nasz. Ostatni, bacz!

Ugięty słowa śpiewnego niesamowitym, lubym a groźnym ciężarem, przysiedzie Larg nawprost obu. Kwiat narcyza pośrodku nich załśni gwiazdą, na stół porzuconą pusty.

Rękoma twarz swą zakryje Larg: dzieli się jakoby twardo ciemnią wypracowaną dłoni od zagadek srebrnych. Nocy, z której zagadkę najskromniejszą srebrzeją ku niemu ci dwaj. —

— Dziada naszego uprowadziłeś... z domostwa tego... w taką Noc — sączy się głucho skarga. — Wróciłeś porwać ojca. — Zostało nas dwóch po nim. — Siłowałeś nas, który ulegnie przemocom twym...

Zakwili ptak senny w gnieździe, bolesno. Milczą dwaj. —

— Nie ciebie skarzę, człowieku dziwny, niepojęty mi — kto wie. Lata całe... gdy cię nie było... gdyś odszedł już być z dziadkiem... tęskniłem... tak! tęskniłem do ciebie... do powieści twych... bałamutnych tych... od których gaśnie radość i barwy dnia żywe... a zapala się... nie wiem, jakoby to zwać. Dość, że nie ja stąd pójdę. Nie ja pójdę!

A nie wiedzieć, duma li to z siebie zadrga w głosie, czyli do siebie żal.

— Gdy dwaj są na dziedzictwie, słuszne, by jeden przetrwał, odszedł zasię drugi! — Nie może być albowiem grzechu, ani też krzywdy z jaskini trwać, ku której zniżył się Bóg, zwieńczony światłością. —

Ruch takowy Serapjon ręką czyni, że jednej chwili zdała się Largowi zagroda ta domowa czeluścią pieczary, bardzo czarną, w której świecą się jeno misterja rozplodu. — Wzdrygnął się tchem od morza — i poczuł w sobie odporu napływ, ogromną do sprzeczki chęć, do godzenia bezlitośnego w najczulsze, acz mdłego był z natury języka i myśli nie rącej. —

— Tak, oto tak! bardzo ci, ponoć, przystoi, Serapjonie, jaskinią zwać każdą tu zacną sadybę..., tobie, któryś w speluncie iście hodował się, gdy w takową ojczym rodu twego dom dziada twego niegdy był obrócił. — Porfirjusz mówię, mąż zły pamięci, młodzieży uwodziciel, powsinoga, nierób sławny, posagów a testamentów łowca... — zachłyśnie się wymowy potokiem, szumnym wszystko plotką świętobabską, która długi wzbierała wiek.

Bo sto lat z okładem mija, odkąd stało się, co wie tu jeszcze każda ciotka: Porfirjusz — mędrzec, żywot duchom podobny chwalcący, pojął, pięćdzie-

siatej bez mała dobiegłszy jesieni, Marcelę, sycylijską żydówkę, zwiędłą już wiekiem i płucną złą chorobą, matkę siedmiorga dzieci... Wszystko to rozpuście k'woli uczynił, oraz by majątkiem jej owładnął. Po roku zasię, gdy bracia Marcelli na żywot się Porfirjusa sprzysięgli, dał nura, zagrabiwszy, co mógł, z klejnotów, list jej za to pięknie brzmiący napisał, w którym życ jej bogobojnie przykazuje z nadzieją spotkania — po śmierci. Bo więcej nie zjawił się w Lilybei. — Marceli wnukiem pierworodnym Serapjon.

Szeleszczą, poszeptują kiście modne. Milczy skarżony. Milczą dwaj. — Przed posągi jakoby dwa z głazu skargę swą i obelgę zapamiętała zanosi Larg.

— „A broń-że się, broń! przeboga Serapjonie. Broń mistrza swego, Firminie, gdy na obronę co wiesz...”

Uśmiechną się posągi dwa, białe księżycem.

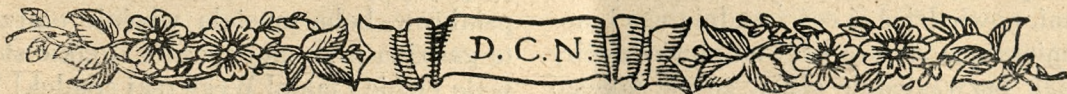
Świadectwem leży na stole kwiat-gwiazda, bardzo śnieżna i bezbronna.

„...Nie w słowach cię twych czytam, Largu, niedobrych; w tem czytam cię, czego nie zdołasz rzec, to zaś, anizeli ty dziś, lepsze.

Gdy jutro odejdę, nie wrócę. Przy tym, który ma odejść, prośby prawo: uczyni, czegoś lękał się dotąd... by nie zepsuło ci snadź poczucia ważności trudów twych za dnia, a nocą zaś snu krzepkiego, bez marzeń o tem, co od twych słów lepsze. — A powiadam ci, miłosny był lęk twój”.

Dzwonią słowa, padają, ważkie, niby krople otężale kruszcu połyskliwego w srebrny kruz Nocy. Nie oprzesz się czarowi: — Czuje Larg, tężeją w nim, w odzew struna po strunie, dygoty sprzeciwu krwawe: cały czyni się w sobie srebrny, podany urokom, jako harfa, po której Noc wzdycha.

„Mów” — bezdźwięcznie poruszają się wargi.



M. H. SZPYRKÓWNA

10)

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Otóż tak. Zostaje zatem jedno tylko: moje papugi. Wy młodzi tego nie zrozumiecie, ale dość, że zapewniam cię, nie ubliżając memu nieboszczykowi mężowi, śmierć mego ukochanego Księcia Kardynała (połknął pestkę i znalazłam go rano w klatce już nieżywego — było to okropne) — jego więc śmierć nie była tak znowu dużo mniejszem, powiedzmy, zmartwieniem, niż nieboszczyka barona. Najlepszy dowód, że właśnie po śmierci Księcia Kardynała (taki miał kolor piórek na czubku, wspaniały!) — zgłosiłam się do twoich dziadków, aby mi cię przysłano na wychowanie. No, nie mogłaś go zastąpić, ale mniejsza z tem. W każdym razie, wiem, że masz dobre serce i spełnisz moją ostatnią prośbę: zawieszysz osobiście album z fotografjami moich papug do Londynu na wystawę Przyjaciół Maleńkich Więźniów, co do szczegółów której załączam zaproszenie. Maleńcy Więźniowie — to, jak się domyślasz, biedne ptaszyny. Gdybyś sama nie mogła na żaden sposób pojechać, pošlij męża lub kogoś obeznanego z zagranicą, żeby mnie nie ośmieszył wobec cudzoziemców. Naturalnie, bywając zagranicą tak często (Lorcja wspominała, zdaje się, że karnawał spędziliście w Paryżu, a potem podróżowaliście po Afryce, bardzo słusznie) — więc naturalnie, że podróż taka pieniężnie różnicy ci nie sprawi, na wszelki jednak sposób załączam od-

powiednią sumę na tę podróż w osobnej kopercie, zostawionej u rejenta, o którą się upomnij. Liczę z tygodniowym pobytem. Nie chcę, abyś miała to robić z pieniędzy męża, choćby istotnie dawał ci na różne zbytki, jak to Lorcja opowiada. Przyznam ci się, że te parę kart z zagranicy, napisanych tak, że mogły być od ciebie, lub i od każdego innego ze znajomych, nie uważałam za najuprzejmiejszy sposób likwidowania naszych stosunków po twojem małżeństwie, ale mniejsza z tem: ludzie zwykle są uprzejmi dla interesu, a teraz do niczego wam już potrzebna nie jestem. Twój mąż wprawdzie wyglądał na wykwinętego człowieka, ale może na Węgrzech nie jest modne pisywać do starych ciotek.

Album zawiera dwadzieścia portretów i czterdzieści osiem zdjęć w dwu odbitkach (na wypadek, gdyby trzeba było dać do pism, z powodu uroczystości zjazdowych). Będą rozdawane premje za najpiękniejsze egzemplarze: proszę cię, upomnij się o moją, jeśli mi ją przyznają, nawet, gdybym nie żyła. Dołączycie ją w takim razie do zbiorów rodzinnych, które dziedziczą synowie Lorci. Dla ciebie osobiście załączam zdjęcie filmowe Bebeche, zrobione kiedyś w Berlinie w Zoo, dokąd ją przywoziłam pokazać. Raziłaś ją wprawdzie skrzypiącym obuwiem i głosem, który dla niej był za brutalny. Rozmawiała chętnie tylko

po francusku. Naogól, jednak, nie była dla ciebie niechętna, i sędzę, że jej ostatnie zdjęcia sprawią ci może drobną przyjemność. Wielkie — nużą zbyt szybko, ma chérie.

Na tem kończę. Znalazłam także ostatnio naszyjnik z granatów, który łączę do listu. Należał do twojej matki, kiedy była dorastającą panienką: ja miałam turkusy, kazałam z nich potem zrobić tę świąteczną obróżkę dla Markiza, co to wiesz. Całe szczęście, że granaty wtedy gdzieś się zapodziały. Wiem, że jesteś nawet z pewną egzaltacją usposobiona do wszystkiego, co stanowi przeszłość twojej matki: może to zresztą i słusznie, nie znam się na uczuciach rodzinnych. Sędzę więc, że tym naszyjnikiem niejako kupię cię dla mojej ostatniej woli i prośby, skoro pieniędzy masz więcej, niż ja sama. Męża pożegnaj odemnie i przypomnij, że składek na Piotra Klawera nie dostawałam: czyżby miodowe miesiące tak go zamroczyły co do pamięci? Ciebie uściskam i chciałabym, wierzaj mi, powiedzieć ci coś zasadniczego i moralnego, jak umierająca starsza krewna powiedziećby powinna: jednak bezwzględnie czuję, że nic takiego w najbliższym czasie na myśl mi nie przyjdzie! Bądź zatem zdrowa i staraj się nie oczekiwać niczego po najbliższych ci osobach; wówczas zawody, doznane od dalszych, obejdą cię już dużo mniej. On s'accomode!

Twoja ciotka Gertruda!

P. S. Myślałam o zapisaniu czegoś twoim dziadkom. Ale wobec twojej nowej sytuacji, sędzę, że chyba mają wszystkiego dość? Do albumu każ uszyć pokrowiec z szarego zamszu, żeby nie obić rogów.

* *

Czytałam list tak pochłonięta, że zupełnie zapomniałam, gdzie jestem. Było mi tylko zimno, i mechanicznie, nie odrywając oczu od pisma, wzięłam z fotela szal i otuliłam się po wierzchu pidżamy, w którą byłam ubrana. Skończywszy, położyłam go na stole i poszukałam oczyma męża. Stał przy oknie, odwrócony. Na szelest papieru, wykręcił się na obcasach, z rękami w kieszeniach, ze smyczą wściekłych słów, trzymany na uwięzi wysiłku. Przeszedł pokój, stanął przedemną, rozdzielony szerokością stołu, i wymówił nienaturalnie spokojnym głosem:

— A teraz może mi zakomunikujesz łaskawie, co zamierzasz dalej robić?...

Podniosłam ogłuszone tem wszystkim oczy.

— ...Dla... Dlaczego?

Huknął nagle z całej siły w stół, aż zabrzączały lekarstwa.

— Dlatego, że jesteśmy zrujnowani i bez grosza przez twoją świętą głupotę, rozumiesz?... Dlatego, że jak wierzyliście się dowiedzą, iż nie dostaliśmy w

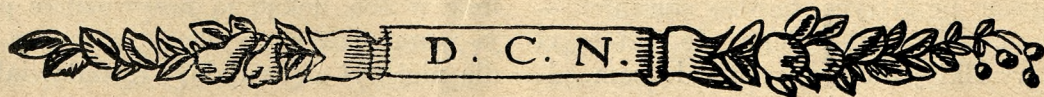
spadku nic, to zedrą z ciebie nawet tę głupią pidżamę, dlatego! Rozumiesz? I pomyśleć, że taka mogłaby mieć krocie tysięcy, pałac, auta, czy ja wiem co?, a zapisują jej, psiakrew...naszyjniczek z panięńskich granatków za sto złotych i album z papugami! Czy ty rozumiesz, kobieto, co to jest?! Tamta jest żmija, jest szantażystka, prawda! Jest! Ale ma głowę... lepszą, niż mężczyzna! Dałam się jej sam podejść, jak bałwan, bo przecież to ona mi śpiewała w Niewodowie, jakie to będziesz miała zapisy i miljony! „Gercia niktogo pozamną i Haneczką nie ma, Haneczka, panie baronie, to — partja nie do pogardzenia, nawet dla takiego charmeur'a, jak pan!“. Nie zorjentowałem się narazie, że było to na przynętę, żeby mnie mieć w Niewodowie, a potem sędziłem, że jest zazdrosna i dlatego nie chce, żebym o ciebie się starał! Teraz mi się wyświeciło! Poprostu, wiedziała, że własną głową o żaden udział w spadku się nie upomnisz, a bała się, że ją podejść! I miałem plan, tylko czekałem lata! To psiakrew, baba musiała właśnie umrzeć teraz, kiedy ta gadzina przy niej syczała słodkie słówka, a szkalowała cię i mnie! Węgierski spadek! Podróże, zbytki i nawał pieniędzy! Rozumiesz?! To pomysły Lory! Rozegrała, podobno, scenę z jakimś bankructwem, które grozi temu jej bałwanowi mężowi, lała łzy, przyprowadzała dzieci, zagrożone ruiną... Teraz dostała pałac i dwakroć sto tysięcy gotówką, a ty! Pytam, a ty?! — Głos mu się znowu zerwał z wściekłości. — Czy sędzisz, że będę całe życie sterczał w tych rumowiskach, jak puszczyk? Co ty sobie wogóle wyobrazasz dalej? Jak? Gdzie?

Zdawało mi się, że kłębowisko żmij wysypało mi się nagle pod nogi, i, sycząc żądłami, obczołguje mnie, płacząc się ze wszystkich stron. Powoli zaczynałam rozumieć. Przepaść otwierała mi się pod nogami.

— Nie wiedziałam, że... liczyłeś na mój posag! Nikt ci go nigdy nie obiecywał! Ani ciotka, ani... ja! Wogóle, nie uważałam nawet w myśli, że mężczyzna, który jest moim mężem, może...

Ścisnął w ręce szklanę, aż prysła, i rzucił o dywan resztkami.

— Twój mąż! O to właśnie idzie, twój mąż! Żeby nie był twoim mężem, rozumiesz?... mógłbym być mężem, kochankiem, czy ja wiem! najpiękniejszych i najbogatszych kobiet na dziesiątki! To zbieg okoliczności, że wtedy właśnie przyjechałem do Polski po przegranej w Monaco i że — trzeba było wreszcie mieć coś w rękę! Twoim mężem! Jej nie przyszło do głowy! A przyszło ci do głowy, że chyba idjota mógłby się żenić z jakąś parafjanką z pod Grodna czy Białowieży, która poza zaściankiem nie widziała świata?





Królowa Paryża (z berlem w ręku) w otoczeniu królowych poszczególnych dzielnic.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA

„MI-CARÊME“

Mi-Carême — Pół-poście. Dzień słoneczny. Paryż wyległ na ulice, które ma przeciągać korowód Wielkie Bulwary. Z dwóch stron pustej jezdni czeka tłum. Czeka. Więc nudzi się? Nie, stanowczo — nie!

Przenosi się z miejsca na miejsce, krąży, słucha bulwarowych śpiewaków, śmieje się z zamaskowanej, pretensjonalnej, różowej baletniczki (której ogromne nogi i żyłasty kark zdradzają mężczyznę) i zachwyca się dziećmi, które czynny udział biorą w tej słonecznej radości, jako bretonczki i cyganki, pajace i kolombiny, djabełki i paziki.

Małe „fleuristes“ sprzedają po 1 franku fiołki. Za chwilę mają wszyscy te radosne lila kwiatki, przypięte do futer, palt i kostjumów.

Słońce.

Więc tłum czeka i nie nudzi się, a siedzący na koniu żołnierz z „Garde Nationale“, o jowjalnej twarzy i sumiastym wąsie, uśmiecha się z pod olbrzymiej kity swego helmu do tych, co klepią jego ślicznego deresza.

Ale naraz... pogodna wesołość zamienia się w jeden wielki wybuch entuzjazmu, a siedząca przy stolikach publiczność kawiarni „de la Paix“ gorączkowo wskakuje na wyplatane krzeselka i marmurowe, kawiarniane stoliczki.

Idą! Kelnerzy w swoich obciętych frakach i białych fartuchach upominają się o „payements“. Idą! Voilà! Słychać już orkiestry!

A tłum krzyczy i śmieje się głośno, bo środkiem

kroczy śmiesznie wygięta figura o długiej szyi, zakończonej piramidą trzech głów (w kapeluszach).

A potem studenci: „La jeunesse Universitaire“.

Jadą samochody ze sztandarami wydziałów i związków studenckich, a towarzyszą im roześmiani studenci i ci, co kiedyś studentami byli.

Więc jedzie samochód „retoryki“, „filozofji“, „matematyki“ i „medycyny“, a za tym ostatnim kroczy mały kondukt żałobny. Trumienka z pochowanym wewnątrz „rokiem szkolnym“ w otoczeniu kościotrupów, świec i całej „pompe funèbre“¹⁾.

Ta młodzież, która stanowi piękność i przyszłość umysłowej Francji, otwiera pochód i zamyka go, jako olbrzymi tłum studencki, hałaśliwy, roześmiany, w płóciennych fartuchach codziennej pracy, wyniesionych z laboratorjów, warsztatów, kreślarni i klinik. Fartuchy te przedstawiają ciekawy i oryginalny widok, gdyż właściciele ich pokryli je przeróżnymi, dziwaczными rysunkami. Medycyna więc obnosi na plecach czerwone „żołądki“, „płuca“ i t. p. anatomiczne historje.

Dentyści mają wymalowane całe szczęki.

Studenci Akademii Sztuk Pięknych popisali się kubistycznymi i futurystycznymi krajobrazami, a niewiadomy mi fakultet wymalował całą talję kart.

Studenci mają towarzyszyć pochodowi aż do

¹⁾ „Pompe funèbre“ — „pompa“ żałobna.

Bulwaru Sebastopol, a wkońcu powrócić do swego „quartier Latin“¹⁾.

A dalej? Dalej ciągnie w to słoneczne popołudnie marcowe kawalkada dwudziestu dwóch wozów i gra kolejno piętnaście orkiestr. Komitet, dbając o wysoki poziom artystyczny całości, odmówił współudziału wozom i wózkom reklamowym. Przesuwają się więc przed naszymi oczyma, jak w bajce z „tysiąca i jednej nocy“, poszczególne fragmenty humorystyczne, stylowe, artystyczne i patryjotyczne.

Więc rozkwita przed nami „Uśmiech Paryża“. Wóz ukwiecony girlandami nieprawdopodobnie dużych rumianków — rumianków, które stanowią kapelusze uśmiechniętych paryżanek. Balkony firmy Citroen, obciążone publicznością, witają ten wóz owacyjnie.

A dalej „Exposition Coloniale“²⁾, jako awangarda, mającej się odbyć w roku 1930 „Wystawy Kolonialnej“. Na tle wielkiej figury, która wyobraża egipską „Księżniczkę Nofrit“, czy jaką inną „Królową Amenertas“, krzyczy i skacze tłum murzynów, arabów i hindusów, mniej lub więcej autentycznych. Nad tłumem tym chwieje się palma z „papier mâché“, jako reprezentantka flory orjentalnej. Jest i fauna w postaci wielbłąda i małych, artystycznie wykonanych małpek, które nigdy lasów Konga nie widziały, zato wyszły napewno z pracowni jakiegoś artysty.

Za tym wozem jedzie rydwan „Przyjaźni Francusko - Belgijskiej“, ukwiecony i utrzymany w stylu klasycznym, wywierając wrażenie wysoce artystyczne.

A dalej... Dylizans z epoki 1830 roku, udekorowany małą chorągiewką z napisem:

„La commune libre de Vieux Montmartre“³⁾.

Jadą w tym dylizansie muzy, gryzетки i Mimi Pinson — reprezentowana przez artystki i miłe „cousettes“⁴⁾ wielkich magazynów paryskich. Pięciu żołnierzy (w kostjumach z tejże epoki) i cała kompanja strażaków stanowią przyboczną gwardję tego dylizansu. Na koźle stangret w popielatym cylindrze i tuzurku. Z okien wychylone urocze główki w kapeluszach z 1830 roku. Dylizans ten odtworzono według rysunku p. Raoula Guérin, który wzorował się na autentycznych danych.

Co to jest „Wolny Związek Starego Montmartru“?

Jest to związek, w którego skład wchodzi artyści, literaci, malarze i kompozytorzy. Jego jeneralnym „gouverneur'em“ jest słynny rysownik pan Raoul Guérin, a „dyktatorem“ piosenkarz pan Michel Herbert.

Związek ten jest twórcą i głównym organizatorem wszystkich obchodów w rodzaju: „Marche des Catherinettes“, wyścigów automobilowych (w zwolnionem tempie), championatu reporterów kinemato-

graficznych i innych, tym podobnych manifestacyj sportowych i humorystycznych.

Nie więc dziwnego, że „dylizans“ witany jest przez tłumy owacyjnie, jako miły i artystyczny wehikul „związku artystów“, którzy są twórcami rozwelelających tłumy imprez.

Ale co to? Znów pogrzeb? Tym razem „pogrzeb ostatniej dorożki“!

Jedzie więc taki „ekwipaż“, pamiętający rok 1913 i przedwojenne czasy (było ich wtedy w Paryżu, tych dorożek, około 10.000. Obecnie jest ich — 5, kursują w nocy z dworców kolejowych). Za tym ekwipażem ciągnie kondukt żalobny i kilka przyczepionych z tyłu „szkap dorożkarskich“ z adresem transportu, wypisanym wielkimi literami:

„do jątki końskiej“.

Wśląd za tym konduktem żalobnym, który przyjęty jest przez publiczność salwą śmiechu, jedzie zwycięskie... auto... ukwiecone. Auto — triumfator terażniejszości!

Trudno mi wymienić wszystkie „chars“ o treści patryjotycznej (Alzacja), humorystycznej (Robinson) i t. d. i t. d. O jednym jeszcze chcę wspomnieć, jako o wybitnie charakterystycznym przykładzie dowcipu francuskiego. Więc o wozie „Société des Nations“⁵⁾. Powiewa tam chorągiew z napisem „Pakt Kelloga“. Widać karykaturalną postać pana Brianda, podpisującego pakt. Z drugiej strony zaś żołnierza, trzymającego w ręku symbolicznego gołąbka z gałązką oliwną pokoju. Wygląda to rozczulająco. Cóż, kiedy za wozem tym wiozą ogromnego, drewnianego „Konia Trojańskiego“. Nie wiem, czy tłum zrozumiał kwintesencję tego dowcipu, przypuszczam jednak, że — tak, gdyż tłum francuski dużo czyta i stoi bezwzględnie na wysokim poziomie umysłowym.

A teraz ostatni wóz. Wóz, który zamyka pochód, a jednocześnie jest t. zw. „gwoździem“. Wóz, na który wszyscy czekają.

Jadą na nim królowe. Tak, królowe A jest ich aż dwadzieścia kilka!!!

Nie przypuszczaliście, miłe Czytelniczki, że tyle ukoronowanych głów posiada Europa? Żeby to lepiej rozumieć, trzeba sięgnąć do... historii.

Dawno, już dawno temu „Związek... Praczek“ wybrał z pomiędzy siebie — królowę. I tak się zaczę-

¹⁾ Quartier Latin — dzielnica studencka, gdzie znajduje się większość wyższych uczelni paryskich (między innymi: Sorbona).

²⁾ Exposition Coloniale — Wystawa Kolonialna.

³⁾ Wolny związek Starego Montmartru.

⁴⁾ „Cousettes“ (jeżeli tak można zdrobnić) „szwaczuchny“.

⁵⁾ „Société des Nations“ — Liga Narodów.

lo. Potem każdy arrondissement¹⁾ w Paryżu chciał mieć swoją królową... (a jest arrondissements w Paryżu aż 20!)

Pozatem wybierano królowe: mody, krawcowych, futer, nowości, modystek, a wkońcu nawet awjacji (M-lle Thérèse Vignolles) i poezji (M-lle Keronet). Wszystkie te królowe stają do konkursu na królową królowych, czyli „Królową Paryża“.

W tym roku palmę pierwszeństwa otrzymała M-lle Simone Gabard, — nie tyle piękna, ile rzeczywiscie czarująca w swym uśmiechu. Nadsyłam fotografię wszystkich królowych, z p. Gabard w pośrodku. Fotografia robiona była przed Operą Paryską na tle ukwieconego wozu, na chwilę przed wyruszeniem kawkady.

Biały ten wóz, witany był przez tłum entuzjastycznie. Na tle girland kwiatnych, na samej górze, jak na tronie, jechała „Królowa-Królowych“, w swoim królewskim, purpurowym płaszczu, podbitym gronostajami, a niżej u jej stóp, wszystkie królowe w swoich pięknych, futrzanych płaszczach — czarujący przedstawiały widok.

Firmy takie, jak Paquin, Belle Jardinière, Maison Drecoll-Ber i Louvre, ubrały tak pięknie i bezinteresownie poszczególne królowe, zaś sławna firma futrzana Guélis Frères (z której łona wybrano „królową futer“) ofiarowała na czas pochodu wspaniałe, gronostajowe i szensylowe peleryny i płaszcze.

* * *

Wieczorem odbył się tradycyjny „Bal maskowy“ w Operze Paryskiej, na rzecz kasy „Związku Studentów“. Artyści wszystkich wielkich teatrów paryskich wzięli udział w części artystycznej programu. Piękne i urocze Ich Wysokości Miss Europa i Miss France przewodniczyły balowi. Balet Opery Paryskiej odtańczył stare tańce klasyczne. Śpiewano. Artystyczny pochód przedfilował o północy przez salony Opery. — Potem tańczono do rana.

* * *

A w kilkunastu punktach Paryża jeździły dnia tego oświetlone karuzele, strzelano do celu i hazardowano się na ulicznych „roulette'ach“. Oglądałam taką wieczorną zabawę na Bulwarze Ornano. Prym w zabawie wiodła „Królowa XVIII Arrondissement“ w koronie na ciemnej główce i w swoim białym, królewskim płaszczu. Ona była tą, która najwięcej się wyjeździła na karuzelowych rydwanach, koniach i samochodach. I tą, która najwyżej huštała się na bulwarowych huštawkach, aż fruwała wysoko, przez ramię przewieszona, trójbarwna szarfa z inicjałami i koroną (godło jej jednodniowego królestwa) i śmiała się jej wiośniana, śliczna twarzyczka.

* * *

Tak Paryż obchodził swój „Mi-Carême“.

Nie zapomniał dnia tego o nikim, nawet o... obłąkanych i tym dnia tego w szpitalu wyprawiono „Bal Kostjumowy“. Hołdując modzie, i tam obrano... królową. — Biedactwo — od lat kilkunastu wyobraża sobie, że jest królową nieistniejącego dworu średniowiecznego.

Na jeden wieczór chora jej wyobraźnia zamieniła się w piękną rzeczywistość. Jej Królewska Mość miała królewskie szaty, tron i dwór!

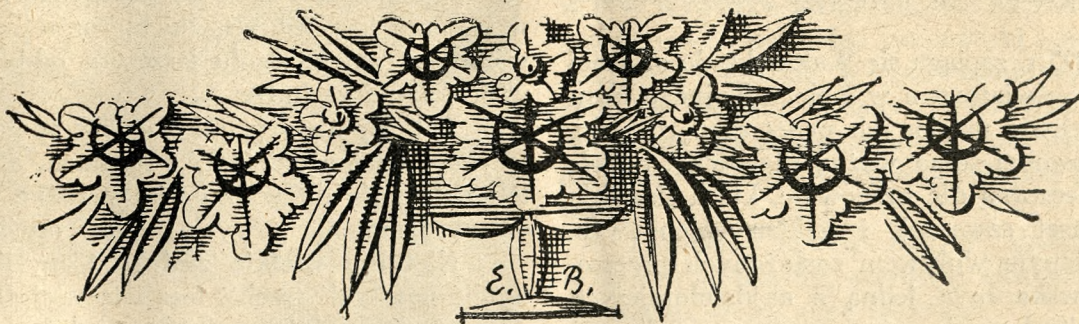
* * *

Patrząc na królowe podczas święta „Mi-Carême“, myślałam o tem, jak złośliwym i nielogicznym jest świat współczesny: obala trony, detronuje królów, a choruje na manję wybierania... królowych!

* * *

¹⁾ Arrondissement — dzielnica.

Paryż, 14. III. 1929 rok.



Z. ZAWISZANKA

CECYLJA WALEWSKA

(Sylwetka jubileuszowa)

Cecylja Walewska — to jeden z tych szlachetnych a rzadkich typów niewieścich, które kojarzą minioną epokę szamotania się w niewoli ze współczesnym naszym, o ileż bardziej skomplikowanym, życiem. To przedstawicielka najlepszych prądów obu tych okresów i owych prac rzetelnych, niezmordowanych, jakimi chlubimy się dziś, czyniąc bilans wysiłków, które nam dały równouprawnienie.

Cecylja Walewska urodziła się w Radomsku w 1859 r.; dzieciństwo jej i pierwsza młodość przypadły na najcięższą „narodową noc” przygnębienia po klęsce. Ukończyła wczesnie i bardzo chlubnie gimnazjum rosyjskie w Warszawie oraz konserwatorium muzyczne. Potem, mieszkając już zawsze w Warszawie, sama uczy w kilku szkołach, dokształcając się jednocześnie, pod kierunkiem wybitnych profesorów, z wielkim zamiłowaniem, zwłaszcza w polonistycę i filozofji.

Jako młodziutka dziewczyna, zaczyna już drukować w „Świecie”; potem stale współpracuje w „Prawdzie”, choć niecałkiem podzielaając jej pozytywistyczną ideologję.

Z biegiem lat, jako publicystka coraz wytrawniejsza, zasila swemi artykułami „Kurjer Warszawski”, „Nową Gazetę”, „Przełom”, „Epokę”, „Ateum”, „Ogniwo”, „Nową Reformę” — wreszcie wchodzi do redakcji „Echa literackiego i artystycznego”. Równolegle z tem, daje literaturze pięknej szereg zajmujących powieści, które świadczą o znacznej kulturze pisarskiej i bogatym życiu intelektualnym.

Są to ciekawe studia psychologiczno-społeczne, w których autorka przedstawia najczęściej świat naukowy i artystyczny — konflikt między powołaniem kobiety a jej miłością. W książce „Moje służby” daje wgląd w psychologję domowej służącej — bystry, subtelny i pełen współczucia. Widać tu znawczynię ludzi, szczerą demokratkę i społecznicę zamiłowaną. Bo też to jej żywioł — w większym jeszcze stopniu, niż literatura.

Już od 1895 r. zaciąga się Walewska do ofiarnej służby na polu oświatowym w Kołach Tajnego Nauczania, tak gorliwie tropionych przez rząd rosyjski. Od r. 1905 prowadzi sama ważną placówkę: Szkołę niedzielną i wieczorną dla pracownic, która skupiała corocznie kilkaset szwaczek i panien sklepowych, pod błogosławionym wpływem zasłużonych przewodniczek. Walewska była jedną z najdzielniejszych i najbardziej kochanych przez uczenice — bo też umiała o nie dbać, niemal po macierzyńsku. To pięk-



Cecylja Walewska

ne dzieło, prowadzone z całym oddaniem, nieraz i z ofiarami materialnymi, przez 20 lat, przekazuje ona wreszcie w 1926 r., w kwitującym stanie, „Kursom dla dorosłych”.

Zesłanie do Kurska, w r. 1901 po demonstracji ku czci Kilińskiego, utwierdziło jeszcze i zahartowało narodowe przekonania Walewskiej — jej mocną wolę służenia Ojczyźnie.

Jako feministka szczerą, pracowała w tym kierunku, jedna z pierwszych — bierze też żywy udział w organizowaniu „Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet”, a nawet prowadzi je przez pewien czas. Pióro jej służy także tej sprawie z zapalem, a zarazem i taktem, jej właściwym, w następujących wydawnictwach: „Z dziejów krzywd kobiet”, „Ruch kobiecy w Polsce”, „Kobieta polska w nauce”.

Przez długie lata, na łamach „Bluszczu”, staje w obronie krzywd wszelkich, rozsiewa zacne myśli wśród szerokiego ogółu i szczerą oddaje sprawiedliwość każdej zasłudze.

Tak jej utwory, jak i czyny społeczne, charakteryzuje wielka dzielność i rozmach, a zarazem subtelna dążność do wnikięcia w różne typy ludzkie, do wyrozumienia nowych prądów myśli i ducha.

Nietylko wielkie zasługi Cecylji Walewskiej uczcić nam dziś trzeba, lecz i tę wyjątkową młodość duszy, która wiąże czcigodną jubilatkę, jako siłę wciąż czynną, z hasłami dnia dzisiejszego.

Z PLASTYKI

„Plastycy wileńscy“ w „Zachęcie“. Wystawa prac Adama Malickiego

Po Krakowie zjawilo się w Warszawie — Wilno. Wśląd za polskiem południem — polska północ. Ta bliskość w czasie pozwala na wyciągnięcie pewnych wniosków porównawczych, pewnych uogólnień.

Kraków na ostatniej wystawie w Związku Plastyków reprezentowany był właściwie przez starszą generację malarzy. „Sztuka“ jest stowarzyszeniem niemal już sędziwym — zarówno ze względu na swą ideologję artystyczną (założenia impresjonistyczne, lub post - impresjonistyczne: „przebrzmiałe echa“...), jak też w związku z wiekiem poszczególnych członków, po większej części już nie pierwszej młodości. „Wileńscy Plastyki“ natomiast należą do młodych. To już właśnie druga generacja, występująca do walki z impresjonizmem, pod hasłem: „Wszystko dla formy!“. To są „młodzi“ pod wodzą swego wielkiego mistrza Ludomira.

Są i na wystawie wileńczyków mocne, a przede wszystkim prawdziwie po malarsku odczute rzeczy. Nie mówiąc już nawet o „wielkim mistrzu“ Ślodzińskim, wystarczy popatrzeć chociażby na ładnie zmontowany, na holenderską modłę stylizowany, pejzaż *Rouby*, albo na pełną ekspresji głowę dziewczynki *Skangiela*, aby przyznać, że w atmosferze „jest jednak coś...“ Jednakże większość wystawiających zdradza duży brak inwencji twórczej.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego Ślodziński o tyle tylko stwarza w swych dziełach *kanon*, o ile jest on odpowiednikiem pewnej głęboko przeżytej treści — a dlaczego jego naśladowcy nie umieją się na to zdobyć? Może właśnie dlatego, że są — naśladowcami. I gdy Ślodziński, twórca tego całego wileńskiego klasycyzmu, odrywając się od jednych form, stwarza wciąż nowe, — oni zatrzymali się przy tej

jednej, nie *zrodzonej* i w trudzie *wypracowanej*, lecz *nabytej*. I dlatego — *pustej*.

„Portret matki“ Ślodzińskiego, będący znów połączeniem rzeźby z obrazem płaskim — uderza przede wszystkim ze względu na swe jakby podświadome rozdarcie: dynamiczność płaszczyzn, stykających się pod różnymi kątami, ostrość form — w związku z surowym spokojem i powagą, z jakimi malarz potraktował twarz w portrecie. Wytwarza się w ten sposób głęboka, o jakiejś nucie ukrytego tragizmu, ekspresja. Bardzo silny w wyrazie jest również „Autoportret“, doskonały przytem w swem związaniu formalnem. Głowa Murzyna — (sangwina i węgiel), świetna w rysunku — poprostu małe arcydzieło. Więc to jednak nie Ślodziński winien. Więc może winna — doktryna?

Tymon Niesiołowski, wystawiający wraz z innymi wileńczykami, wyznaje tak odmienne credo malarskie, że trudno go właściwie omawiać pod jednym — z tamtymi — nagłówkiem. Subtelny kolorysta, o niesłychanie wyczulonym „sumieniu barwnem“, Niesiołowski nie wystawia tym razem obrazów tak interesujących, jak zwykle. Jego pejzaże, bardzo kulturalne, są jednak w swych zestawieniach tonacyjnych dość banalne. „Pierrot“ ma ładne szarawe tony. Ale od Niesiołowskiego możemy oczekiwać czegoś więcej.

* * *

Odnajduje świat i formy w świecie poprzez kolor — *p. Adam Malicki*, którego wystawa otwarta jest obecnie w salonie Garlińskiego.

Zagadnienie „martwej natury“ staje się szczególnie interesujące, gdy je potraktować, jako pewnego rodzaju klucz do psychiki artysty. Można by powiedzieć, że każdy malarz ma swoją własną „martwą naturę“ — a rozwiązywanie tego właśnie problemu może służyć za każdorazowy miernik, wyznaczający jego — stosunek do rzeczywistości wogóle. Albowiem właśnie w tym wypadku niema miejsca na żadne zakłamanie „nastrojowe“, na żadne przyczepki „psychologiczne“, nakrywki literackie. W tym właśnie wypadku malarz znajduje się sam na sam z rzeczywistością — a namalowany już obraz „zdradza“ nam wiele rzeczy, kiedyndziej zręcznie przemyconych pod pokrywką „tematu“.

I właśnie „martwe natury“ Malickiego okazują, że stać go na własny, samoistny stosunek do świata — a ponadto, że — umie malować.

Pejzaże i motywy uliczne artysty są również interesujące i bardzo świeże w kolorze. l. j.



Adam Malicki: „Z motywów staromiejskich“



TEATR NARODOWY

„Król Stefan Batory”, dramat w 8 obrazach *Stanisława Szpotańskiego*, reżyserja *Solskiego*, dekoracje *Drabika*.

Dlaczego postać Samuela Zborowskiego działała zawsze i działa tak silnie na wyobraźnię poetyckie poczynając od Słowackiego i Szujskiego, kończąc na Goetli i Szpotańskim- Dlaczego głowy Stefana Batorego, tego króla z ognia i ze stali, o sercu rycerza i niezłomnej ręce łamacza polskiej swawoli nie otoczyła nigdy aureola poetyckiej legendy, tej legendy, która podniosła Samuela, warcholę, zabijakę, wichrzyciela i pysznego wielmożę, a później banitę i skazańca, do godności męczennika nie tylko sprawy swobód szlacheckich, ale i sui generis praw człowieka, jak to w genialnej swej wizji uczynił Słowacki? Dlaczego? Czyż tak silnie pokutuje jeszcze w nas duch rasy? Czyż mocniej przemawia do nas głos buntu, niż głos prawa? Głębsze zastanowienie się nad tą sprawą zaprowadziłoby nas może na rozdroża psychologii narodów, a nie o to przecież nam chodzi. Chodzi o genezę zjawiska natury czysto artystycznej. Otóż punkt ciężkości sprawy spoczywa tu prosto w przyrodzonej konstrukcji pewnego typu ludzkiego, w jego, że tak rzekę, chemicznym składzie. Ludzie z jednej bryły, bez skaz i załamań nie są materiałem dla dramaturga. Tacy ludzie działają, są aktywni, budują lub walą, mogą być ludźmi opatrnościowymi, bohaterami, mężami stanu, granicznymi słupami historii, ale nie naczelnymi postaciami tragedji. Tacy ludzie, jak Batory, sprowadzają katastrofy, albo im podlegają, ale niezdolni są do przeżywania katastrofy wewnętrznej, psychicznej, która jest przecież istotną osią dramatu.

Tymczasem całe życie Samuela Zborowskiego, jego postawa wobec króla, postawa obrażonego wielmoży wobec niewdzięcznego w jego mniemaniu pomazańca, nienawiść do Zamojskiego, skondensowana nienawiść starego warcholskiego rodu do Katona arrywisty, bujne marzenia o koronie, które go omal na perską stolicę nie wyniosły, miłosna rozpacz po utraczonej Gryzeldzie, — a wszystko rozpalone do tej skali namiętności, która przestaje być uczuciem ludzkim, a urasta na miarę demonicznego żywiołu, — oto materiał twórczy, oto wulkan, oto źródło lawy, z której wytopić można nie jeden, ale kilka dramatów.

Szpoński niewątpliwie orjentował się w bogactwie materiału, ale nie mógł oprzeć się pokusie zużytkowania go „en masse”, w całości. To wywołało wrażenie pewnego nadmiaru, chaosu, który niepotrzebnie zaciera jednolitość akcji i wyrazistość linii. Pewne motywy, wysunięte niemal na czoło akcji, zaprzepaszcza się w dalszym jej rozwoju bezpowrotnie, tak jest np. z żądzą władzy, z pragnieniem korony, silnie zaakcentowanym w pierwszej odsłonie, — sprężyna zupełnie odrzucona w następnych. Szpoński przeoczył tu i gdzie indziej kardynalną zasadę pisarską i to, co jest niepotrzebne, najczęściej staje się szkodliwym. Posługuje się chętnie powtarzaniem, zarówno słów, jak i sytuacji i efektów, co znakomicie osłabia napięcie dramatyczne. Gryzelda kilkakrotnie prosi króla o łaskę dla Samuela, potem już po jego ścięciu, jako tłum posłów o skasowanie wyroku banicji na Krzysztofa. W ten sposób możnaby dramat przedłużyć do nieskończoności, a właściwie do całkowitego wytopienia rodu Zborowskich. Zestawienie nieugiętości Batorego z łagodnością ojcowską Jagiellonów też kilkakrotnie wysuwane jako argument. Może to być zgodne z historją, ale

niezgodne ze wskazaniami celowego wyzyskania faktów dramatycznych. W psychicznej sylwetce Zamojskiego gruba niekonsekwencja: skoro nas przekonał najzupełniej, że niewinien jest śmierci Samuela, pocóż błaga skazańca przed wykonaniem wyroku: „Przez Bożę żywego, odpuść mi, panie Zborowski!”.

Scena autentyczna, wraz z odpowiedzią Samuela, pozycją swego prześladowcę przed sąd Boga, silnie wstrząsająca w swej potędze i grozie, wspaniała pojedynek dwóch tytanów w obliczu śmierci, — ale należało ją w poprzednich odsłonach chociaż trochę uzasadnić. Rzeczywistość historyczna przerosła autora: słowo prawdziwe jego bohaterów trafia celniej do duszy słuchacza, niż literackie jego uzupełnienia. Ta rzeczywistość uskrzydliła go jednak w kilku odsłonach środkowych, wykazując zaчатки istotnego instynktu dramatycznego.

Po dosyć niedołejnej i gadatliwej ekspozycji w trzech pierwszych obrazach, autor nabiera rozpędu w następnych. Jakby zjawienie się pierwiastka erotycznego w osobie Gryzeldy wlało krew w żyły dramatu. Najwyższe napięcie osiąga w siódmej odsłonie. (scena na placu przed katedrą). Ten akta-tek Wawelu, powitany burzą oklasków, to jeszcze jeden triumf Drabika, a zarazem jedna z najbardziej uroczych kompozycji architektonicznych z motywów polskiego renesansu.

Ostatnia odsłona i niepotrzebna i przykra. Powaga i groza śmierci zakłócona burdą sejmową. I raptem, niczem niesprawiedliwiony ten okrzyk: „Niech żyje król!” Widać, że autor myślał o przedstawieniach dla młodzieży szkolnej i skomponował zakończenie „ad usum delphini”.

W momentach, gdy mówiono o posłuszeństwie prawom i konieczności porządku w państwie, zrywały się żywiołowe brawa na widowni. Biła oklaski i prawica i lewica: objaw bardzo pocieszający. Widać wszyscy u nas pragną porządku, zupełnie tak samo, jak w dawnej Polsce: każdy po swojemu.

Obsada sztuki była pierwszorzędną. Węgrzyn z Samuela Zborowskiego zrobił postać niezapomnianą, patetyczną i żywiołową. Solski w roli Batorego dał świetną maskę i sylwetę. Halska, jako Gryzelda, była pełna namiętności i temperamentu, i doskonale wyglądała w pięknych renesansowych kostjumach. Reżyserja naogół świetna, tylko zawiele było nieco jarmarcz- nego hałasu w pierwszych odsłonach. Rycerski animusz niekoniecznie idzie w parze z wrzaskiem.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

LIGA POMOCY DZIEWCZĘTOM (GENERAL BALLINGTON
BOOT'S FUNDATION).

Nad samotnymi dziewczętami, napływającymi tłumnie do New - Yorku, rozciąga troskliwą opiekę Liga pomocy dziewczętom („Girls Service League”), mająca siedzibę w Nowym - Yorku, 135 East Ninetheenth Street. Instytucję tę często nazywają Domem otwartych drzwi, gdyż każda dziewczyna, opuszczona, samotna, chora czy bezdomna, znajdzie tu o każdej porze dnia i nocy przytułek, pożywienie, radę czy pomoc. Położenie każdej z nich zostaje skrupulatnie rozpatrzone. Chora otrzyma opiekę lekarską, bezrobotna — pracę, niezaradna — podtrzymanie moralne, ofiara warunków społecznych — pomoc prawną, popartą przez autorytet Ligi, mało tego, dziewczyna, nie posiadająca żadnego fachu, uzyska bezpłatną naukę w którejś z zawodowych szkół kobiecych, po której ukończeniu niетrudno jej będzie znaleźć pracę za pośrednictwem istnie-

jącego przy Lidze Biura pracy. W r. ubiegłym Liga udzieliła pomocy 5.288 dziewczętom w wieku od 15 do 18 lat. Jest rzeczą charakterystyczną, że trzy czwarte z pośród nich to ofiary rozbitych domów rodzinnych z powodu rozvodu rodziców.

Dla słabowitych wychowanek, których zdrowie wymaga pobytu na świeżem powietrzu, Liga założyła farmę Hillcrest w stanie Connecticut. Znajduje się tam szkoła gospodarstwa wiejskiego i domowego, gdzie wykładane jest ogrodnictwo, hodowla drobiu, pszczelnictwo oraz istnieją kursy rękodzielnicze i artystyczne. Liga pomocy dziewczętom, mimo ruchliwości i sprężystego kierownictwa Mrs. Maude Mimer Hadden, nie jest w stanie zadośćuczynić wzrastającym zgłoszeniom o pomoc.

Na ratunek w tej samej dziedzinie śpieszy niedawno zorganizowany Komitet uczczenia zasług Generała Bellingtona Booth'a, zamierzający wybudować wielki hotel, w którym samotne i pozbawione pracy dziewczęta znalazłyby bezpieczne schronienie do czasu znalezienia posady. Koszt budowy i urządzenia z uwzględnieniem tegoczesnej higieny i komfortu preliminowany jest na milion dolarów. Hotel ten będzie miał charakter raczej zbiorowego home'u i zdoła pomieścić jednorazowo 500 do 600 kobiet i dziewcząt. Projekt powyższy uzyskał oficjalną aprobatę i zachętę prezydenta Coolidge'a, a ponieważ w Ameryce od projektu do czynu drogą niedaleko, należy się spodziewać, że już na przyszły rok przwbędzie miastu jeszcze jedna pożyteczna placówka, zdolna uratować wiele młodych istnień od skierowania się na niewłaściwą drogę. R. C. H.

53 ZRZUSZENIA KOBIECE W STANACH ZJEDNOCZONYCH POPIERAJĄ BILL O BUDOWIE 15 PANCERNIKÓW.

Kobiety amerykańskie rozwijają ożywioną działalność nie tylko na polu pracy społecznej i filantropijnej, ale zaczynają brać coraz żywszy udział w sprawach natury politycznej. Dn. 31 stycznia r. b. odbyło się w Nowym Yorku doroczne walne zgromadzenie Amerykańskiej Legji Pomocniczej (American Legion Auxiliary) i Kobiecej Federacji Patrijotycznej (Women's Patriotic Conference), na którym 53 kobiece Zrzeszenia społeczne zgłosiły wniosek, potępiający usiłowania amerykańskich pacyfistów, przeciwstawiających się budowie 15 projektowanych krążowników wojennych. Amerykanki, zrzeszone w owych organizacjach zwracają się do Rządu, Parlamentu i Senatu w Waszyngtonie z apelem, aby sfery miarodajne nie ustawały w usiłowaniach zapewnienia Państwu środków skutecznej obrony na wypadek wojny. „My, kobiety amerykańskie” — głosi odezwa — „nie zaprzestaniemy nigdy krzewić wśród społeczeństwa zamilowania do pokoju, całym sercem aprobujemy zawsze dążenia naszej Ojczyzny do zawierania traktatów pokojowych z innymi Państwami, z najwyższym jednak niepokojem stwierdzamy niebezpieczny wpływ nieopatrznych pacyfistów, usiłujących obalić bill o budowie 15 pancerników, bez względu na to, że inne Państwa pomimo podpisania Paktu Kelloga nie zaprzestały ustawicznego wzmocniania swoich sił zbrojnych”. R. C. H.

MEDAL ZASŁUGI DLA PAŃSTWA GARWAN ZA DZIAŁALNOŚĆ W DZIEDZINIE CHEMJI.

Pisma nowojorskie donoszą, że Amerykański Instytut Chemiczny postanowił ofiarować specjalny medal zasługi panu i pani Francis Garwan za wspólną działalność ich w dziedzinie chemji. Pan Garwan stoi na czele American Chemical Foundation i oboje wraz z małżonką są duszą tej instytucji, której poświęcają cały swój czas oraz wspomagają pod względem finansowym, w sposób najzupełniej bezinteresowny i nie szukający rozgłosu. Chemicy Stanów Zjednoczonych, oceniając ich wielkie zasługi i pragnąc dać wyraz najgorętszemu uznaniu dla ich działalności, złożą im w darze medal, wybitny na ich cześć. Ceremonja wręczenia medalu odbędzie się 4-go maja r. b. na dorocznym Zgromadzeniu Instytutu. R. C. H.



Lucyna Robowska.

KONCERT KOMPOZYTORÓW POLSKICH

Lucyna Robowska, niestrudzona orędowniczka muzyki polskiej w kraju i zagranicą, włączyła tym razem do swego programu utwory polskich kompozytorek, opracowane przeważnie z rękopisów.

Praca ta podnosi jeszcze zasługę cenionej pianistki, która z benedyktyńską pilnością szuka zawsze materiału dla obranych przez siebie produkcji i nie cofa się przed trudem niedwzięcznej nauki z rękopisu. Na 29 nazwisk kompozytorek polskich w programie, figurowało jedenaście kobiecech. Najstarsze z nich, to nazwisko Marji Szymanowskiej, matki Celiny, żony Adama Mickiewicza, której „Polonez”, wydany w r. 1830, cechuje wytworna elegancja, forma zaokrąglona i bez zarzutu. „Bagatela” F. Brzezińskiej posiada wdzięk bibelotu z gablotki romantycznej (wyd. w r. 1851). Z nowszych utworów na uwagę zasługuje „Oberek” L. Wojciechowskiej, z kompozytorek najmłodszych wybiła się na plan pierwszy J. Sternicka - Nekraszowa.

Koncert Lucyny Robowskiej przyjęto z ogólnym poklaskiem i uznaniem.

P. L.

AMERYKANKI NA WYSOKICH STANOWISKACH.

Urzędowe statystyczne dane w Stanach Zjednoczonych wykazują, że na 540 zawodów, zarejestrowanych oficjalnie w kraju, tylko kilkanaście nie jest dotychczas objętych przez pracę kobiet. Nie wiem, o jakiego rodzaju zawodach jest tu mowa, gdyż obecnie widzi się amerykanki na stanowiskach, o jakich nie tylko babkom naszym, ale nawet matkom nie śniło się nawet. Pisma donosiły nie dawno, że Herbert Hoover, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, zamierza ofiarować jedną z tek ministerjalnych w swoim rządzie kobiecie. Mamy już w Ameryce kobiety, będące kapitanami okrętów, kobiety wprowadzone na giełdę, policjantki, pilotki, kierowniczk broadcastingów i t. p. Jest rzeczą charakterystyczną, że coraz częściej kobiety otrzymują wysokie i bardzo odpowiedzialne stanowiska. Niedawno Mrs. Ebba Winslow została wybrana na burmistrza Queens, zwyciężając drugiego kandydata, niejakiego pana J. H. Clark 86 głosami przeciwko 54. Z życiorysu jej, podanego przez prasę z powodu tego wyboru, dowiadujemy się z Mrs Winslow, zajmowała już przed laty stanowisko Szeryfa i była jedną z pięciu kobiet, wyznaczonych w swoim czasie przez Roosevelta do prowadzenia kampanji wyborczej w okresie jego kandydatury na prezydenta Stanów Zjednoczonych. R. C. H.

DOMY DLA MATEK I NIEMOWLĄT.

Nawoływania społeczne do ratowania niemowląt zaczynają odnosić skutek doraźny. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej opracowało plan szerokiej akcji opieki nad macierzyństwem.

„Domy Matki i Dziecka“ mają w najbliższym czasie powstać we wszystkich większych miastach Polski. Będą one obejmowały specjalne oddziały: dla ciężarnych, dla położnic i rekonwalescentek, dalej dla matek karmiących i warsztaty dla zdolnych już do lżejszej pracy.

Wykonaniem tego planu zajmą się z urzędu Samorządy.

W ten sposób zrealizowana zostanie współczesna zasada pomocy macierzyństwu: opieka nad matką chorą i niemowlęciem w pierwszych tygodniach jego życia, później zaś umożliwienie matce utrzymywania dziecka własną pracą.

N. J.

STARY GDAŃSK PORAZ PIERWSZY UJRZAŁ SENATORKE.

Poraz pierwszy od czasu swego istnienia, senat gdański prowadził obrady z udziałem kobiety.

Pierwsza senatorka, p. Richter, świeżo obrana, została uroczystie wprowadzona do sali posiedzeń i powitana przez kolegów.

N. J.

KOBIETY FRANCUSKIE ZWOŁAŁY STANY GENERALNE.

„Kobiety francuskie, poniżone wobec całego świata, brakiem praw cywilnych i politycznych, na jaki skazał je parlament, mają już dosyć oczekiwania reform, dwukrotnie uchwalonych przez Izbę posłów i ciągle odkładanych przez Senat; wobec tego chcą oddać pod sąd całego narodu swoją sytuację, będącą nie do zniesienia w chwili, gdy na wszystkich, dostępnych im placówkach społecznych, rozwinęły francuzki najenergiczniejszą działalność i najdzielniejszą inicjatywę“.

Tak brzmi początek manifestu kobiet francuskich, rozesłanego do setek organizacji kobiecych przez Radę Narodową Kobiet, a zwołującego „Stany Generalne“ kobiece.

Ze słownictwa Wielkiej Rewolucji, zapożyczono tę nazwę, przywodzącą na myśl niewygasłe znaczenie hasła: równości, wolności i braterstwa, aby nadać ją zjazdowi kobiet z całej Francji, domagającemu się zastosowania nareszcie tych wielkich słów do całości narodu.

Przewodniczyła zebraniu Stanów Generalnych p. Avril de St. Croix, wiceprezydentka Międzynarodowej Ligi Praw wyborczych kobiet, podczas trzydniowych obrad, zabierały głos wszystkie najwybitniejsze działaczki francuskie.

W Komitecie honorowym Stanów wzięli udział prezydent rady ministrów Poincaré, przewodniczący Izby posłów Bouisson, oraz dawni ministrowie, posłowie, wysocy funkcjonariusze samorządowi, członkowie akademii francuskiej, uczeni, jak Karol Richet, literaci, artyści, wybitni zawodowcy: adwokaci, lekarze, inżynierowie — nieskończenie długa lista! Nie zaproszono tylko delegatek z zagranicy, w myśl znanego przysłowia francuskiego, że „brudna bielizna pierze się w domu“. Kobiety francuskie czuły się zbyt upośledzone, aby omawiać swoje ciężkie położenie wewnętrzne w obecności przedstawicielek innych, szczęśliwych, liberalniejszych narodów!

Program obrad Stanów Generalnych obejmował: reformę prawa małżeńskiego, prawo matki w stosunku do dzieci, prawo równego wynagrodzenia mężczyzn i kobiet, polepszenie położenia pracownic — chałupniczek, rolę kobiet w higienie społecznej i walkę z klęskami chorób, opiekę nad macierzyństwem, udział w opiece społecznej, opiekę nad dziećmi, reformę szkolnictwa, organizację gospodarstwa domowego, walkę z handlem żywym towarem, i rolę kobiet w akcji pokoju.

Sala obrad nie mogła pomieścić uczestników, gdyż oprócz delegatek stowarzyszeń, napłynął tłum publiczności, tak, że

musiano wstrzymać wydawane początkowo karty wstępu dla „sympatyków“ sprawy.

Wzruszającym momentem obrad była żywiołowa manifestacja zebranych podczas przemowy p. Brunschwig, nawołującej do akcji o uzyskanie prawa wyborczego.

Zdaje się, że, nie tyle konserwatywny, ile poprostu reakcyjny senat francuski będzie musiał tym razem zejść ze swej drogi i że francuzki uzyskają nareszcie prawa człowieka, przynależne przed półtora wiekiem ich rodakom.

N. J.

ODEZWA.

Pod Protektorem Pani Prezydentowej Mościckiej, Główny Stołeczny Komitet Obywatelski Pomocy dla Powodzian, w skład którego wchodzi: władze wojskowe, administracyjne, samorządowe, Polski Czerwony Krzyż oraz Instytucje Społeczne.

OBYWATELE!

Stańmy, wszyscy do apelu w obliczu zagrażającej powodzi!

W kraju naszym od początku zimy zapanowały od stu lat niebywale mrozy i śnieżyce.

Lada chwila wielkie zwały lodowe runą na brzegi Wisły, Bugu, Narwi i innych rzek naszych, podcinając jak kosą domostwa nadbrzeżne, niosąc tysiącom naszych rodaków straszliwe zniszczenie, a nawet śmierć w mroźnej toni rozszalałego żywiołu.

Władze wojskowe, administracyjne i samorządowe naszego miasta czynią wszystko, co jest w ludzkiej mocy, aby, jeśli nie całkowicie zapobiec grożącej katastrofie, to przynajmniej zmniejszyć jej rozmiary.

Z wiarą i ufnością patrzymy na te wysiłki.

Społeczeństwo jednak wobec tej klęski nie może pozostać bezczynne.

Warszawa, stolica naszej Ojczyzny — to serce naszego kraju.

Serce to musi uderzyć, jak wielki dzwon na trwogę!

Niech ton jego śpizowy poruszy wszystkich do głębi.

Niech każdy, mający swój własny, ciepły kąt i zapewnione bezpieczeństwo pomyśli o tysiącach dzieci, które będą narażone na głód i choroby, o tysiącach rodzin, które utracić mogą całe swoje mienie, dorobek wielu lat ciężkiej pracy.

Sumienie wstrząśnięte niedolą musi każdemu podyktować czyn i nakaz niesienia ulgi nieszczęśliwym.

Organizacje społeczne w stolicy już są zmobilizowane.

Do pomocy muszą również stanąć wszyscy obywatele naszego miasta.

Niech każdy w czystem sercu nie wygasło uczucie miłości bliźniego, stanie do apelu.

Potrzeba zapasów żywności, odzieży, środków lekarskich i opatrunkowych!

Potrzeba funduszy, które dadzą możliwość zorganizowania materialnej pomocy dla powodzian!

Mieszkańcy stolicy, dając tylekroć dowody swej ofiarności, i tym razem napewno spełnią swój obowiązek społeczny!

Zapasy żywności należy składać w Sekcji żywnościowej, Kredytowa Nr. 16 (tel. 38-58).

Ofiary pieniężne wpłacać należy do wszystkich redakcyj pism codziennych, oraz do P. K. O. na konto czek. 15.777.

Stołeczny Komitet Obywatelski Pomocy dla Powodzian.

	<p>PROSZEK KOGUTEK DLA DOROSŁYCH</p>	<p>CHCĄC NABYC PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻADAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM“ GĄSECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE UPORCZYWIE POLECANE, NAŚLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.</p>
	<p>USUWA NAJUPORCZYWSZY BÓL GŁOWY</p>	



Sala jadalna w „Ognisku“ przy ul. de Ponthieux

OGNISKA KOBIECE WE FRANCJI

W Paryżu istnieją już od roku 1917 „Ogniska“ dla kobiet (Foyers féminins de France), uznane za dzieło użyteczności publicznej. Mają one za cel otaczanie opieką moralną i materialną dziewcząt pracujących.

Głównym sposobem działalności „Ognisk“ są jadalnie dla kobiet, zakładane zawsze w środowiskach, gdzie ich największa ilość pracuje. Jadalnie takie umożliwiają dziewczętom odżywianie się w jak najlepszych warunkach higieny moralnej i fizycznej, po cenach przystępnych. Drobiazgowa czystość jest tam przestrzegana, a także staranie o wygląd powabny i miły dla oka. Potrawy są urozmaicone i starannie przyrządzone. Dobór ich pozwala dziewczęciu ułożyć sobie posiłek w stosunku do własnego apetytu i do gotówki, jaką w danej chwili rozporządza. Dla chorych, którym dieta jest wskazana, dostarczane są potrawy odpowiednio dobrane. Przeciętą ceną całkowitego posiłku waha się od 4—5 franków.

Ale głównym celem „Ogniska“ jest ściąganie młodych dziewcząt w przerwie pomiędzy zajęciami do środowiska przyjemnego, gdzie mogą wypocząć, rozzerwać się, a przytem wzbogacić swój umysł i serce. Każde „Ognisko“ posiada czytelnię, salę, przeznaczone na korespondencję, muzykę i na gry towarzyskie. Sale tego „klubu“ oddane są do użytku członkiń za opłatą roczną 12 franków, z których 2 wpłaca się do „Kasy wzajemnej pomocy“. Składka jest ustanowiona poto, aby uszanować godność własną członkiń, które odnoszą wrażenie, że posiadają klub swój własny, a nie korzystają z dobroczynności publicznej. Ten

drobny wysiłek finansowy pozwala im tem więcej ocenić korzyści, jakie im są ofiarowane.

Salę dostępne są dla członkiń między 11—2 w południe, oraz od 6—9 wieczorem. W bibliotece wypożyczają książki za drobną opłatą 10 centimów od tomu. Jest tam siedziba Kółka literackiego i społecznego, zespołu chórów i solfeggia, zebrań muzycznych i konferencyj o rozmaitych tematach, podanych w przystępnej i interesującej formie. Odbywają się kursy, odpowiadające potrzebom dziewcząt, a przeznaczone najczęściej do uzupełnienia ich zawodowego wykształcenia, nauka języków obcych, kroju, gimnastyki i t. p. Godziny, przeznaczone na te kursy, wypadają zawsze w przerwie w pracy, albo po jej ukończeniu, aby umożliwić dziewczętom zarobkującym korzystanie z nich. Opłata za kurs nie przekracza nigdy 25 fr. za kwartał.

Dla sportów, uprawianych w czasie pory cieplej, posiadają „Ogniska“ wspólne boiska do tenisa i piłki nożnej.

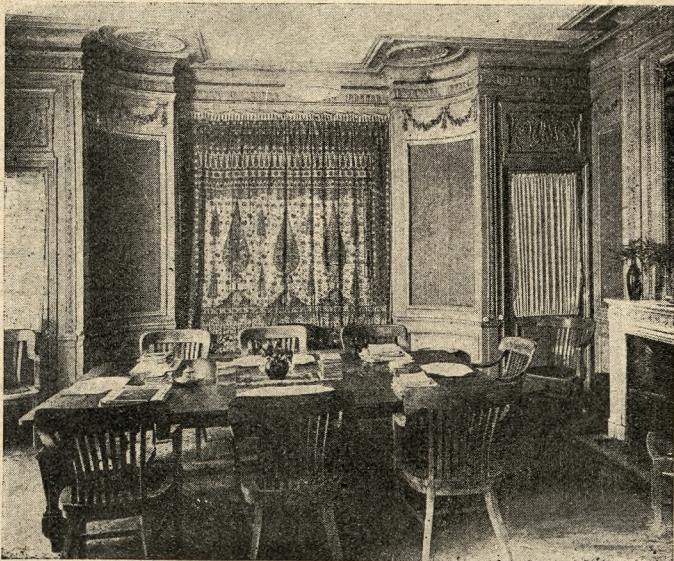
Kasa wzajemnej pomocy jest zasilana przez ściąganie owych 2 franków od każdego członka. Pomocy materialnej udziela się zwykle tylko czasowo, w razie choroby lub braku pracy, w formie pożyczki, którą zawsze ucziwie i w miarę możliwości zwracają, najczęściej w ratach miesięcznych.

Bezplatna porada lekarska pozwala na wczesne wykrycie zarodków choroby u dziewcząt niedokrwionych lub niedorozwiniętych i zapobieżenie rozwinięciu tejże. W razie potrzeby i na wniosek lekarki „Ogniska“, jedna z opiekunek prowadzi chorą do lekarza-

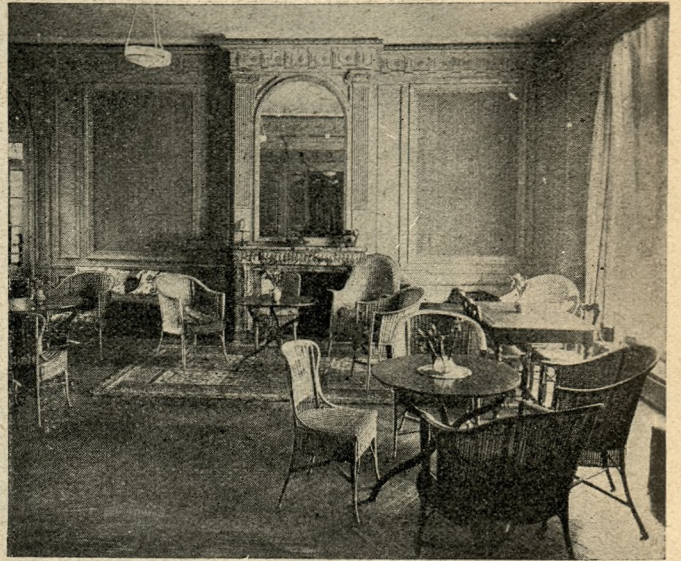
specjalisty albo do chirurga, poczem pośredniczy w umieszczeniu jej w szpitalu, gdzie ją odwiedzają nie tylko panie z zarządu „Ogniska“, ale także i jej koleżanki, przynosząc kwiaty i słodczyce chorej, dając tem dowody solidarności członków jednego Ogniska. Obóz dla wywczasów letnich znajduje się nad brzegiem morza. Otwarty od 1 lipca do 30 września, posiada pomieszczenie na 60 dziewcząt równocześnie z ich wakacjami, trwającymi zazwyczaj od 15 dni do 1 miesiąca. Opłata tygodniowa wraz z utrzymaniem wynosi 60 fr. tygodniowo. Mają one też zniżkę 50% na kolejach. Poza dobroczynnym wypoczynkiem i odżywianiem posiłnem, odnoszą tę wielką korzyść moralną, że spotykają się z dziewczętami wszystkich innych „Ognisk“ i mają możność żyć z nimi.

Sekretarki „Ogniska“ starają się usilnie o zapewnienie młodym dziewczętom, ze wsi przybywającym, takiego schronienia, gdzie mogą być zabezpieczone przed rozmaitemi pokusami i niebezpieczeństwami, czyhającymi na młodzież w Paryżu.

Częstokroć pracodawcy zwracają się do Zarządu w poszukiwaniu pracownic, wówczas kieruje się dziewczęta odpowiednio uzdolnione, ale tylko do domów, czy przedsiębiorstw, gdzie nic nie zagraża ich moralności. „Ogniska“ posiadają 7 jadłodajni wsamym Paryżu, z których najliczniej uczęszczana, bo położona w środowisku handlowem, zatrudniająca najwięcej kobiet, jest przy rue de Ponthieux z przeciętną wydawanych posiłków 2.000 dziennie. Jadłodajnia przy Bd. Raspail w domu dla studentek wydaje dziennie 800, a założona niedawno w Osiedlu uniwersyteckiem, gdzie wszystkie kulturalne kraje pobudowały swoje domy dla studentów, również 800 posiłków. Razem wszystkie jadłodajnie, należące do „Ognisk“ niewieścień paryskich, wydają przeciętnie do 5.000 posiłków dziennie. Na prowincji „Ogniska“ posiadają swoje organizacje w Bourges, w Lyonie i w St. Etienne. To ostatnie liczy 850 członków.



Czytelnia w „Ognisku“



Sala klubowa w „Ognisku“

Jak wynika z zestawionego bilansu za rok 1926, oraz z przedstawionego budżetu na rok następny, jak również ze sprawozdania kasowego, które mam pod ręką, jadłodajnie opłacają się same przez się, bez pomocy jakiegokolwiek subwencji. Widać z tego, że kalkulacja jest przeprowadzona racjonalnie.

Rozchód jadłodajni paryskich wszystkich razem wynosił w ciągu jednego roku: 5,149.119 franków, przychód zaś: 5,150.580 franków. Subwencje nieznaczne, które zostały zużyte na inne cele „Ogniska“, dosięgły zaledwie sumy 2.250 fr., w czym subwencja miasta Paryża — 1.750 fr. Instytucja ta jest zatem oparta na samowystarczalności.

Lokal przy ulicy de Ponthieux, położonej w najruchliwszej i najszykowniejszej dzielnicy Paryża „Pół Elizejskich“, jest przystosowany odpowiednio do swego celu przez włożenie w przebudowę poważnej sumy, poza bardzo wysokim czynszem dzierżawnym. Sala jadalna, wysoka na dwa piętra, z dachem oszklonym i ruchomym dla przewietrzania, posiada znaczną ilość światła: na galerji również ustawiono stoliki; obok znajdują się sale klubowe. Na dole jadalnia otoczona jest z trzech stron balaskami, dla utrzymania porządku w czasie natłoku, jaki panuje zawsze między godzinami wpół do 12-ej a 1-szą. Dziewczęta mogą się posuwać spokojnie po dwie razem aż do drugiego końca sali, gdzie znajduje się bufet z zastawionymi potrawami. Na jednej ze ścian wisi zegar, na innej — wielka tablica ze spisem potraw i ich ceną. Cena jednej potrawy nie przekracza 2 franków za porcję mięsa; przystawka, legumina oraz jarzyna kosztują po 80 centimów.

U wejścia tak zagrodzonej jadalni znajdują się na bufecie stosy okrągłych blaszanych tac ze szklanekami, oraz koszyki z nożami, widelcami i łyżkami, także chleb, pokrajany na kawałki. Każda z dziew-

cząt bierze tacę, stawia na niej szklankę, kładzie nóż, widelec i łyżkę, kawałek chleba i tak zaopatrzona postępuje dalej, gdzie stoją talerzyki z rozmaitemi przystawkami, a więc sałaty świeże i gotowane, mizerja, pomidory, sardynki, nawet homar, oraz porcje zipsnego mięsiwa z sosem majonezowym. Idąc dalej, natrafia się na ciepłe potrawy, wstawione wraz z naczyniem do gorącej wody: są tam rozmaite pieczenie i potrawki, kotlety, ryby, jarzyny, a wieczorem także zupa. Tutaj już dziewczęta służebne, jednakowo ubrane w perkalikowe sukienki w paski, białe fartuszki i czepeczki, stojąc za „ładą“, nakładają porcje na talerze, odmierzając je wielkimi, płaskimi chochlami. Dalej jeszcze na bufecie znajdują się przygotowane słodkie potrawy, najczęściej kawałek tortu lub puddingu, placak ryżowego i kompoty. Porą letnią można dostać przewyborne lody, zawsze owoce, nawet nowalje i pomarańcze. Osobno stoją większe, mniejsze i małeńkie flaszki z wodą mineralną, winem lub piwem.

Wreszcie z zastawioną tacą przechodzi się obok siedzącej na podwyższeniu dozorczyńni, która momentalnie oblicza cenę wszystkich potraw razem i na karteczce, którą wręcza konsumentce wraz z serwetką papierową, dziurkuje w odnośnym miejscu kwotę, jaką przy wyjściu należy w kasie uiścić. Wówczas właścicielka tych smakowitych dań upatruje sobie miejsce przy stoliku i w towarzystwie, jakie jej dogadza — co nieraz jest trudne do urzeczywistnienia w porze najbardziej uczęszczanej, gdy nawet nieraz czekać trzeba kilka minut, aż się miejsce przy stoliku uwolni — zasiada do biesiady. Wobec tego, że całe menu jest przed nią, że nie potrzebuje wołać i czekać na kelnerkę, szybko może się zalać z całym obiadem, względnie śniadaniem. Jeżeli przyjdzie jej jeszcze ochota na kawę czarną, czy herbatę, albo jakieś ziółko, tak bardzo we Francji lubiane, wstaje i idzie raz jeszcze do bufetu, gdzie dodatkowo dziurkuje karteczkę, a filiżankę przynosi na swoje miejsce. Przed wyjściem, na stole, przy którym czuwa dziewczyna usługująca, stawia tacę z próżnym naczyniem, które natychmiast jest zabrane do umycia, płaci przy kasie i wychodzi nasycona i zadowolona. Mając jeszcze czas wolny od pracy, może usiąść w pobliskich ogrodach Pól Elizejskich, aby odetchnąć świeżym powietrzem z książką, czy gazetą w ręku, poczem wypoczęta powraca do codziennej, nieraz nadmiernie ciężkiej pracy. Należy dodać, że do jadłodajni „Ogniska“ nają wstęp wszystkie kobiety pracujące, bez względu na to, czy do związku należą, czy nie. Nikt nie pyta przy wejściu o legitymację, stan, czy zawód. Każda przychodząca, młoda czy stara, ubrana modnie i strojnie, czy ubogo odziana — przyjmowana jest z jednaką życzliwością i równie dobrze obsłużona: jest to zatem wielkie dobrodziejstwo nie tylko dla młodych dziewcząt, ale także dla każdej pracującej, a nawet niezdolnej do pracy, kobiety.

M. D.

MY I DRUDZY

I.

WSPÓLŻYCIE ZE STARSZYMI.

Nie myślcie, broń Boże, Szanowne Czytelniczki, że mam zamiar tu podawać przepisy *savoir-vivre'u*, jakieś dawne czy nowe „jak żyć z ludźmi“. Miłe te książeczki, aczkolwiek uznają ich użyteczność dla... niektórych osób, miały zawsze właściwość działania na mnie komiczną stroną swych wskazań, uroczyście orzekających o drobiazgach. Chodzi mi zupełnie o co innego: — o zastanowienie się nietyle nad formami, ile właśnie nad treścią naszego stosunku do otoczenia w różnych przejawach życiowych.

Czasy obecne wniosły w życie wiele głębokich zmian; należy zastanowić się, które z nich są lepsze, a które może gorsze, niż dawniej.

Wiele z tych zmian, i to właśnie z zakresu „wielkich form“, spowodowane zostało zmianą warunków życiowych i do tych nie powrócimy. Nie będziemy — my, szerokie sfery społeczne — trzymać się przepisów np. składania wizyt między godz. 1 a 6-tą, wydawania przyjęć i obiadów takich a nie innych, gdyż nie mamy na to ani środków, ani czasu.

Są natomiast stosunki, które uległy zmianie; częściowo wskutek nowych warunków, częściowo wskutek innych pojęć, a niekiedy zostały także zaakcentowane właśnie dla zasady zerwania z „przestarzałymi obyczajami“, zaakcentowane może zbyt ostro.

O takich głównie objawach, głębszej treści psychicznej, pragnę pomówić, dając pierwsze miejsce temu, co „z wieku i urzędu“ ma prawo do pierwszeństwa: — stosunkowi młodych do starych. Nie dzieci do rodziców, bynajmniej — jest to sprawa z innej już zupełnie dziedziny — lecz właśnie ustosunkowaniu się ludzi najzupełniej dorosłych, lecz młodych, do starszych członków rodziny, starych przyjaciół rodziców, do starszego wogóle pokolenia.

Tu bowiem spotykamy wielokrotnie objawy, jakby to powiedzieć... conajmniej niewłaściwe. Być może, iż jest to właśnie reakcja przeciw dawniejszym, zbyt surowym w tym kierunku, przepisom, nakładającym obowiązki formalnego, nadzwyczajnego szacunku, a niekiedy wymagającym wprost poddawania się — przynajmniej również formalnego — bardzo czasami despotycznym opinjom i żądaniom starszych. To właśnie należy przewartościować, określając sobie swoje stanowisko w duchu zachowania nietylko form — choć i one są potrzebne — lecz właśnie nadania swemu stosunkowi do starszych właściwej treści.

Czytałam kiedyś książkę Emila Fageta „Kochaj starców“ i podziwiam, jak myśliciel subtelny mógł napisać rzecz tak płytka i nieszczerą, poczętą wprowadzie w najlepszych zamiarach, ale opartą na... nieprawdzie.

Faguet zaleca wprawdzie kochać starszych, lecz jednocześnie przedstawia ich, jako zdzieciniałe ruiny psychiczne, szczątki charakterów, którym należy się od nas tylko dobroczynne kłamstwo, że kochamy ich, szanujemy ich zdanie i uznajemy, iż są nam w życiu potrzebni.

Inaczej zupełnie wyraził się niedawno o stosunku do starszych Boy-Żeleński, który, poddając działaniu swej nieodpartej satyry przesadne oprawianie w ramki starości, jako takiej, tak powszechne u poprzednich pokoleń, stwierdził poprostu, że ludzkość powinna dążyć do jaknajdłuższego zachowania młodości, zarówno organicznej, jak i psychicznej, nie wystawiając starości fałszywych piedestałów. Wychodząc z tego punktu widzenia, dalej powodując się uczuciami wyrozumiałości i obowiązku zachowania ciągłości stosunku wzajemnego pokoleń, w którym obie strony dają zarówno sobie, jak i społeczeństwu niezaprzeczone wartości — możemy postawić tę sprawę na właściwym gruncie, nie formalnym, a istotnym.

Teraz jest, niestety, zupełnie inaczej.

Tu młode małżeństwo składa wizyty, bywa i przyjmuje cały szereg swych rówieśników, nie mając w ciągu paru miesięcy „czasu” na odwiedzenie i zaproszenie starszych krewnych; tam córka, młoda panna, do której matki przyszła jej siostra, nie widzi nic niewłaściwego w tem, że, zaledwie przywitawszy się z ciotką, wychodzi do drugiego pokoju, gdzie czyta jakąś powieść, lub robi... nic; to znów młody człowiek, spotkawszy w domu krewnych ich znajomą, pamiętającą go małym chłopczykiem i witającą uprzejmie, robi „nastroszoną” minę i żegna się pośpiesznie, skracając gwałtownie swą wizytę — przykłady możnaby przytaczać bez końca.

I nie chodzi tu wcale o staruszków zniedołężniatych, dla których, rozumie się samo przez się, potrzebna jest tylko opieka i troskliwość najbliższych, ale o stosunku do osób w średnim wieku, często pełnych życia, werwy, czasem niepośledniej inteligencji, doświadczenia życiowego — osób, które naprawdę miałyby młodszym dużo do powiedzenia.

Czyja w tem wina, a może, ściślej — jaka przyczyna takiego stosunku?

Największym chyba jego powodem jest gwałtowne przewartościowywanie form. Dawniejsze obowiązki szacunku i prawie ze posłuszeństwa uznano za przestarzałe, i dobrze się stało, gdyż były to formy tylko martwe, nieszczerze i często przesadzone. Nie można jednak, odrzuciwszy je, pozostawić na ich miejscu próżni. Uznać starszych za taką *quantité négligeable*, dla której niema w życiu miejsca wspólnego z młodymi, byłoby to nieludzkie i nawet... niepraktyczne. Z drugiej strony, jeśli młodzi są niewyrozumiali młodością, starsi bywają też często zgorzkniali i niewyrozumiali dla młodości. Trzeba sobie wzajem-

nie robić małe ustępstwa, trzeba wzajemnie na siebie oddziaływać.

Ale w tem zadaniu główna rola powinna przypaść w udziale właśnie młodemu pokoleniu.

Jednym z poważnych obowiązków człowieka w stosunku do siebie samego jest nie zestarzeć się psychicznie, starać się o zachowanie do możliwie najpóźniejszego wieku pogody i rzeźwości umysłu. Jeżeli jednak nie uda się to w stopniu doskonałym, jeżeli przebyte, ciężkie nieraz, próby życiowe zostawiają swoje ślady w postaci pesymizmu, zgorzknienia, braku wiary w teraźniejszość, a to jest dla starszych b. przykre, bo cóż — przyszłości już tak mało przed nimi! — to nikt nie potrafi oddziaływać na to tak dobrze i skutecznie, jak właśnie młodzi ze swą werwą, humorem i siłą życiową. Nie trzeba więc żalować tych dobrych wartości starszemu swemu otoczeniu. Każdy je posiada, większe lub mniejsze, dalsze czy bliższe — zamiast uciekać od niego z niechęcią i przesadnym lękiem nudy, trzeba mu czasem poświęcić parę chwil, starając się ożywić je swoją psychiką. Zamiast wzruszać ramionami na krytykę obecnych czasów, — przedstawić z siłą swej młodej wiary i realną znajomością współczesnych poczynąń ich niezaprzeczoną wartość. Jeżeli zrobimy to z całą ludzką serdecznością — skutek będzie niezawodny. Będziemy przytem mieli sami wcale ciekawą sposobność do porównań, jak przetwarzają się z biegiem czasu charaktery, obyczaje i przekonania.

Jeżeli uda się młodym w ten sposób ustosunkować do swych starszych przyjaciół — nie będą im napewno ciążyły pewne, konieczne do zachowania w kulturalnem środowisku, formy; wypełni je bowiem to, co powinno być zasadą wszelkich form racjonalnych: — właściwa treść — dla obu stron korzystna.

J. N.



Nareszcie każda z Pań będzie mogła
własnoręcznie ozdobić sobie modną
==== suknię, szal lub apaszkę ====

bo ukazała się książeczka p. t.

**MALOWANIE,
TAMPONOWANIE,
LIWORYZACJA**

która uczy wykonania tych wszystkich
robót i daje wzory naturalnej wielkości.

Cena 1 zł. 50 gr.

Do nabycia w Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Pl. Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Nr. 13.555.

NAJMILSI TOWARZYSZE

Kwiat nie jest kosztownym, bezużytecznym grakiem, efemerydą mody, niepotrzebnej w życiu, jak to często utrzymują. Niezbędny przyjaciel, daje nam radość życia, bierze udział w uroczystościach, zdobi nasze mieszkania, rozwesela ucztę, przynosi natchnienie poetom, dodaje wdzięku ubraniom, uroku przyjęciom, łagodzi smutek, potęguje radość. Obecność kwiatów nie jest przymusowa, ale powstaje z odruchu serca, z uczucia potrzeby posiadania w swoim otoczeniu przyjaciela. Kwiat jest towarzyszem każdej chwili naszego życia, oko cieszy się nim, a serce tęskni do jego subtelnego uroku. Kwiat dopełnia ma-



Różnokolorowe anemony będą ozdobą gabinetu.

lowniczo dekorację mieszkania, a jego wdzięk i barwy, dobrze dobrane do tła pokoi, dają szerokie pole do otrzymania rozlicznych dekoracyjnych efektów.

Kulturalna pani domu nie rozmieszcza bezmyślnie kupionych, lub zerwanych kwiatów, nie zdobi jednakowo pokoi: wie, że co stosowne w salonie, nie pasuje do przedpokoju, a co ubiera gabinet, lub jadalny raz w buduarze.

Od przedpokoju, gdzie witamy gości, często nieznanego, zależy pierwsze wrażenie, jakie odnosi w naszym domu. Bukiety, zdobiące go, powinny być poważne, wysmukłe, o barwach dyskretnych. Wysokie lodygi ostów, rumianków, irisów, trzciny wodnych, w szklanych, kolorowych, wydłużonych wazonach, dobranych do koloru kwiatów. Kwiaty fioletowe ładnie odbijają w zielonych wazonach, żółte —



Wysokie lodygi ostów — odpowiednie są do przedpokoju.

podniosą urok sewskiej niebieskiej wazy. W żardinierach z metalu kwiaty cięte zastępują rośliny doniczkowe o twardym liściu, jak aspidistry, palmy, draceny, juki i tym podobne.

Urok salonu zależy od jego dekoracji kwietnej. Kosze i żardinierki porcelanowe, wazony duże i małe, rozrzucone po całym salonie, napelnione, zależnie od pory roku, wiązkami róż, goździków, gałęziami bzu, lilij i storczyków, wspaniałe bogactwo cieplarni.



Lilijowe krokusy w majolikowej wazie staną na stole Wielkanocnym.

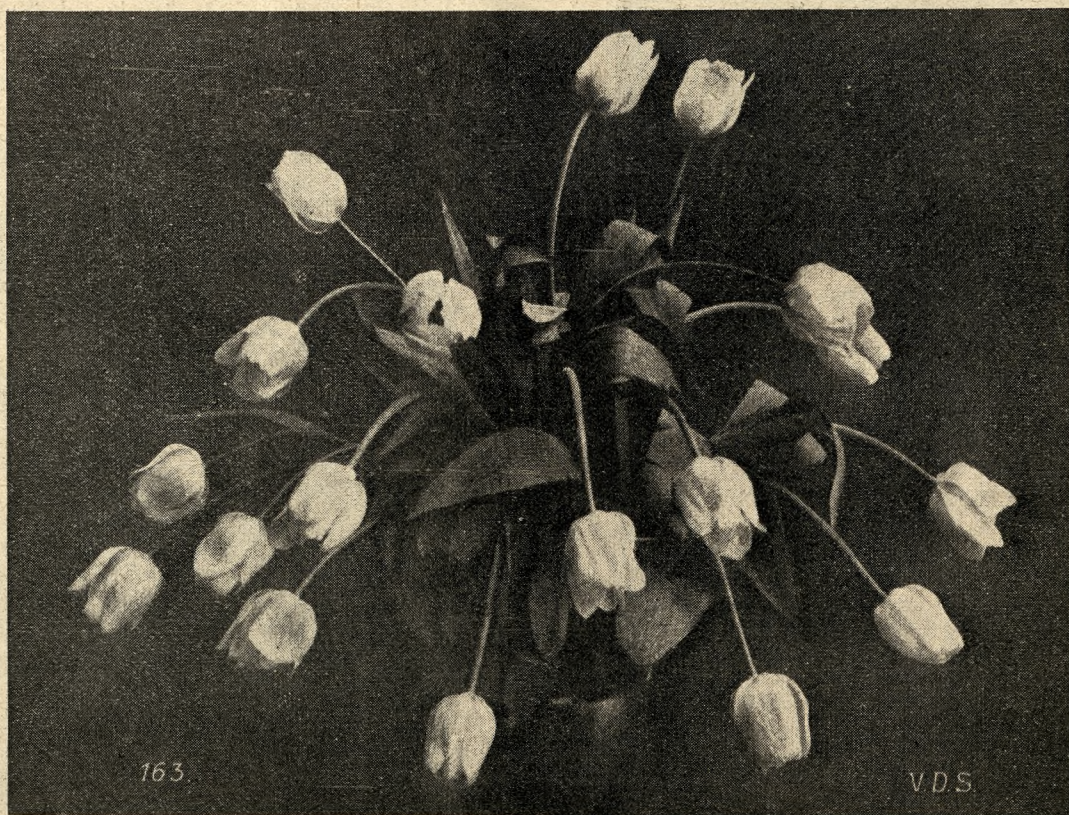


Hiacynty i konwalje dodają wdzięku ulubionemu kątekowi, napelniając go delikatną wonią...

ni i ogrodów — znajdują się na miejscu w salonie, którego stylowe tło rozweseli i ożywi wdzięk kwiatów. Skromny bukiet fiołków lub konwalij, ustawiony w kryształowej czarce na niskim stoliku, złagodzi

sztynny pozór etykietalnego zwykle pokoju od „gości” i zrobi go zamieszkałym.

W sypialni nie stawia się dużo kwiatów, te, które się do niego przeznacza, muszą być piękne i pach-



Bukiet tulipanów lila lub żółtych postawimy w gabinecie...

nać. Pojedyncze narcyzy w kryształowych wysmukłych wazonikach, tacety w sewskich czarkach, hiacynty, fiołki, wreszcie konwalje w srebrnych kubeczkach na nocnym stolczku — dodają wdzięku ulubionemu kącikowi, napelniając go delikatną wonią.

Przeznaczeniem kwiatów w gabinecie jest rozveselenie poważnego nastroju w przybytku pracy. Powinny być ułożone w wysmukłych wazonach, bukiety ich nie przeładowane, pomieszane z liśćmi i trawami o barwach dyskretnych i subtelnym zapachu. Wazonny chińskie, japońskie, z brązu, napelnione kwiatami żółtymi, szafirowymi albo fiołkowymi, najlepiej pasują do poważnego pokoju.

Do jadalnego najstosowniejsze są niskie koszyki porcelanowe, albo małe, eleganckie wazoniki na pojedyncze kwiaty. Na stole najładniej wyglądają



Rumianki — to kwiat odpowiedni do hallu

kwiaty jednokolorowe, w tonie obicia. Duża ilość kwiatów nie jest wskazana w tym pokoju: bukiet na stole i na konsoli, lub na kominku — wystarczy zupełnie. Stosowane ogólnie do jadalnego są kwiaty żółte i brązowe: georginje, chryzantemy, tulipany i t. p. Niema przyjęć bez kwiatów; poczucie piękna każe przystosować dekorację kwiatną do bielizny i nakrycia stołu. Najodpowiedniejsze na jadalnym stole są niskie, nieprzeładowane żardinierki, ustawione pośrodku, przybrane lekkimi zwojami paproci, bluszczów, wina dzikiego i t. p.

Dobór kolorów znaczy bardzo wiele w efekcie dekoracyjnym: różowe, ponsowe, żółte — nie tracą blasku pod silnymi promieniami światła elektrycznych; niebieskie i fiołkowe — błędna od nich. Biały kolor

wskazany jest tylko w pewnych okolicznościach, żółty jest zawsze bardzo wspaniały. Niektóre kwiaty zgóry przystosowane są do dni wielkich uroczystości: ostrokrzew zdobi Nowy Rok, kotki wierzbowe, hiacynty i krokusy — Wielkanoc; róże każą myśleć o Bożem Ciele, chryzantemy — o dniu umarłych, a świerk — o Bożem Narodzeniu.

Kwiaty, jak bratnie dusze, towarzyszą nam wiernie, a więdnąc, zabierają ze sobą trochę naszej radości.

J. S.

CIEKAWY PRZEPIS

Przegląd pism zagranicznych przynosi czasem niespodziewane rezultaty. Szukając w nich czegoś nowego, znalazłam stary przepis, tak oryginalny, że nie mogę nie podzielić się nim z czytelnikami, zwłaszcza, że przepis jest rzekomo pochodzenia polskiego — na polską babę. A więc czytamy i podziwiamy to prawdziwe „curiosum“ sztuki cukierniczej.

Polska baba. To wyśmienite ciasto jest pochodzenia królewskiego, ma zatem tradycję. Ukazało się pierwszy raz na dworze francuskim za Ludwika XV. „Dobry król Ludwik“, jak go zwał jego mistrz kucharski, sławny Carême, opowiada, że król dostał ten przepis od swojego *szwagra!!!* króla Stanisława Leszczyńskiego. Ciasto owo podawano „au naturel“, dla każdego jedno całe, z sosjerką pełną mieszaniny pięciu części Malagi z wodą dystylowaną. Hrabina Risleff, z domu Potocka, w swoich pamiętnikach opowiada, że prawdziwa baba robiona była z czystej mąki żytniej ze starym Tokajem. Czy pochodzenie jednego z najlepszych ciast jest francuskie, czy polskie — na jedno wynosi; pewnem tylko jest, że ciasto to cieszy się dotąd sprawiedliwym uznaniem i że od Ludwika XV dowody jego tożsamości nie były nigdy podawane w wątpliwość.

Tu następuje przepis, tak brzmiący: 20 deka mąki żytniej, 3 całe jaja, 50 gr. rodzyneków korynckich, żdźbło soli, 10 gr. cukru-pudru i 15 gr. drożdży, rozpuszczonych w łyżeczce wody — wyrobić na ciasto miękkie i gładkie, poczem wlać w nie 50 gr. roztopionego na parze masła. Nałożyć do połowy formę od baby, poprzednio dobrze wysmarowaną masłem, wstawić do gorącego pieca: gdy się upiecze, wyjąć z formy i ostudzić. Nazajutrz, skoro dobrze stężeje, umoczyć ją w letnim syropie, zrobionym z 300 gr. cukru i pół litra wody, potrzymać w nim kwadrans, odsączyć i polać arakiem.

Podaję bez komentarzy. Prawda, że ciekawe? Może która z pań zechce spróbować i powie nam, co z tego królewskiego dania wynikło? Czytając przepis „polskiej baby“, chciałabym wiedzieć, czy jesteśmy równie dobrze znani we Francji, jak nasze ciasta i nasza historia?

Anna W.

KORESPONDENCJE

P. M. Kor. — Uwagi Sz. Pani zakomunikowaliśmy podług jej życzenia. Sprawy te jednak są bardzo trudne do załatwienia istotnie sprawiedliwego dla obu stron, a pozatem i technicznych przeszkód nie braknie. O artykuł prosimy.

Pani A. W. — *Davidy.* — Pomimo najszczerzych chęci, nie możemy dowiedzieć się o żądaną kasę. Niech Sz. Pani zwróci się do kasy, w której Pani nabyła dolarówkę, i zażąda informacji. O ile okaże się nadużycie zaufania, trzeba wystąpić na drogę sądową.

Pani Z. W. — *Stefanów.* — Niedokładności w otrzymywaniu dzienników w pewnym okresie, są skutkiem siły wyższej. Z powodu zawiei i śnieżyc, poczta nie dochodziła regularnie i dotąd zdarzają się jeszcze reklamacje. W razie powtórzenia się takich nieakuratności, proszę zwracać się do właściwego urzędu pocztowego. — Kanwy dostanie Sz. Pani w każdym sklepie norymberskim, np. w firmie Laurysiewicz (ul. Wierzbowa Nr. 6).

Pani T. D. — *Sanok.* — Można spróbować pociągnąć cienko obraz werniksem; nie sądzę, jednak, żeby to pomogło. O ile obraz ma wartość dla Sz. Pani, trzeba zwrócić się do specjalisty.

Pani W. K. — *Markowicze.* — Wyblakły materiał nie da się odnowić — chyba ufarbować, a i wtedy zburzałe plamy często się odróżniają. Farba „Wilbra“ jest doskonałą, można farbować w niej rzeczy na zimno, bez gotowania, równie dobry a krajowy jest „Koloryt“. „Mój Krem“ Dr. J. Świtalskiej, jest doskonały. Niech Sz. Pani kupi maści na odmrożenie (fabryki „Motor“ w Warszawie) i po wymoczeniu smaruje nią nogi na noc. Trzeba włożyć krótkie skarpetki, bo maść jest czarna i plami bieliznę. — Najmodniejszy kolor, zapowiadany na lato, to zielony we wszystkich odcieniach. — Jako przybranie do sukien — kołnierzyki przypinane, białe jedwabne lub z organdy. — Futrzanych kołnierzy przypinanych nie używa się zupełnie, natomiast całą wiosną, a nawet i lato, można nosić przyszyte.

Pani I. M. — *Pularoy.* — Fasonem amazonki służyć Sz. Pani możemy — kosztować będzie 6 zł. — Męskich fasonów nie robimy wcale. — Adres pani Dr. Świtalskiej: Krucza 51.

Pani A. G. — *Siersza.* — O Magiel elektryczny niech się Sz. Pani zwróci do firmy „Siemens“ — Warszawa, Foksal 18.

Pani H. D. — *Szymanów.* — Ondulacja trwała (elektryczna) doskonale się trzyma i trwa conajmniej 6 miesięcy. Naturalnie, że rosnące włosy obniżają fale. Jest dużo dobrych fryzjerów w Warszawie; trudno mi którego specjalnie polecić, jest to bowiem kwestja przyzwyczajenia i upodobania. — Doskonały dentysta p. J. Szydliński mieszka: Nowogrodzka 1. — Na haft Richelieu można używać płótna, batystu, opalu nawet. Najtrwalszy jednak będzie na cienkim płótnie. — Pseudonimów w nagłówkach odpowiedzi nie używamy, jedynie pierwsze litery imienia i nazwiska oraz miejsce zamieszkania.

Pani M. K. — *Małe Szacka.* O ile Sz. Pani nie zna malowania przez szablony, nie podobna wytłumaczyć tej roboty w odpowiedziach, na które, wobec nawału korespondencji, zawsze jest zamało miejsca. Najkorzystniej będzie, jeśli Sz. Pani sprowadzi książeczkę: „Malowanie przez szablony, tamponowanie, liworyzacja“. Po otrzymaniu 1 złp. 80 gr. — książeczkę natychmiast wyślemy.

Pani H. S. — *Wodzisław.* — Książka kucharska, posiadająca zalety, o które Sz. Pani chodzi, jest: „Kuchnia powojenna“ — Pani Elżbiety.

Pani F. W. — *Sosnowiec.* — Trudna sprawa z takimi serwetkami; można je albo przemereżkować na maszynie, i przeciąwszy, w ten sposób brzeg uformować, albo nałożyć fałszywe obręby z innego gładkiego, lub deseniowego materiału, przyszyte mereżką ręczną. Można też waziotko obrębić i wykończyć pikotkami szydełkowymi, albo z cotton perlé Nr. 3 przydzierganiami atłaskiem.

Paniom czytelniczkom przypominamy, że odpisujemy tylko na listy naszych prenumeratorek, podpisane nazwiskiem, z podaniem wyraźnego adresu.

PIERWSZY SPRAWUNEK WIOSENNY KAŻDEJ KOBIECY. TO KSIĄŻKA
DR. J. ŚWITALSKIEJ

„MÓJ SYSTEM PIĘKNOŚCI I ZDROWIA”

KTÓRA ZAWIERA WSKAZÓWKI HIGJENICZNE, NIEZBEDNE W OKRESIE WIOSENNYM I LETNIM

CENA W OPRAWIE 15 ZŁ. Z PRZES. POCZT. 16 ZŁ.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. Nr. 13.555. Za zaliezeniem nie wysyłamy.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEZ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZOPKI „VARICOL”
HEMOROIDALNE
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNA „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 6 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

P. M. Ł. woj. Wileńskie — w odpowiedzi wszystkim smutnym.

Tak mi się przykro zrobiło, kiedy w „Bluszczu” przeczytałam o tylu, tylu smutnych duszach, że aż zebrałam cały zapas odwagi i chcę je pocieszyć. Mam nadzieję, że potrafię tak zrobić, żeby one wszystkie chociaż na chwilę roześmiały się serdecznie. Napewno byłoby im potem lepiej. Lżej cierpieć. Wiem, bo i mnie bywało czasem smutno. Marzenia snuły się, leciały wysoko do słońca, aż przyszło życie, dało im pszytęzka i po wszystkim. Los się odwrócił plecami i pokazał mi wykrzywione obcasy! Z początku tak się tem przeraziłam, że zaczęłam być grobowo smutna, ale to beznadziejnie smutna. Tylko cóż, z tym smutkiem, było mi jakoś nieswojo, jakoś głupio na sercu. Do czego się dotknęłam, szło wszystko na opak, jak na złość. Aż wkońcu powiedziałam sobie: Jest źle, no, ale musi być lepiej. I zaczęłam się śmiać. Wróciła moja dawna beztroska wesołość i odetchnęłam z ulgą, i było mi tak, jakbym przyszła z balu i zdjęła ciasne pantofle. (Nigdy na balu nie byłam, a rodzice mi zawsze kupowali buciki na wyrost, ale myślę, że właśnie tak wygląda uczucie ulgi). Był czas, że sama chciałam pisać strasznie smutny list do „Bluszczu” i prosić, żeby mię ktokolwiek pocieszył, ale, jak spojrzałam swemu smutkowi w jego szelmowskie oczy, roześmiałam się mu w nos. Bo, po co on właśnie ma mi służyć za towarzysza na gościńcu życia? Może dlatego łatwiej potrafiłam pozbyć się smutku, że jestem młoda. Ale i dlatego też może głębiej odczułam, jak moje marzenia dostały grzecznie po głowie.

A więc, równoważy się wszystko.

Kim jestem? Pochodnią oświaty, światłem w mroku, kagankiem w piwnicy, to moje nazwy „poetyczne”, ustalone kaprysem tradycji. A jeśli odrzucimy szumne, pieniające się frazesami tytuły, jestem poprostu nauczycielką. Wielką kierowniczką na malej jednoklasówce. Siedzę sobie, zabita deskami od świata i przez kratki wspomnień spoglądam na moje zamiary, które życie przegania z kąta w kąt po swym pastwisku i cichaczem, uśmiechając się chytrze, odpędza coraz dalej odemnie, ale ja je wrócę, napewno wrócę. Chcę iść w życie z rozpędem, chcę naprawdę żyć, a tu tymczasem muszę brać rozpęd... w swoim pokoju i biegać od ściany do ściany, jak wyliniały tygrys w menażerji.

Bywa to właśnie wtedy, gdy paskudne refleksje wchodzą mi do duszy z... kaloszami. Ale ja się nie

daję, właśnie wtedy pokój swój zamieniam na plac tenisowy (kłębki nici służą za piłki, a zamiast rakiety mam trzepaczkę) i na pole z koszykówką (ciskam kartoflami do koszyka), i na ślizgawkę, i na różne inne tereny sportowe: i w ten sposób „rozrywam się”. Co prawda, robi się z tego malutki szmer, lekki „jazz-band”, ale mój smutek tego nie lubi i zwiewa, gdzie pieprz rośnie. Miewam też bezpłatne koncerty. Przychozą mi pod okno śpiewać chóry wilcze, no ale te już znikają, bo idzie wiosna, choć tu jeszcze jej nie widać. Zato w szkole swojej mam na 41 dzieci, aż 3 ławki i to takie, które dostają febry za każdym zbliżeniem się dziecka. Uczniowie piszą w nich stojąc, bo od siedzenia do pulpitu mają odległości akurat pół metra. Mam zbite trzy sękaty deski, szczerzące kły, szpar, pomalowane sadzami i tytułuję „to” — szumnie tablicą (ona się sama wstydzi tego tytułu). Mam krzesło inwalidę, które ma aż trzy nogi i poręcz, brakuje mu tylko głupstewka, siedzenia i jednej nogi. Mam wreszcie stół „familijny”, zajmujący pół klasy. Ale nic to, jest źle, będzie lepiej. Nie ja, to mój następcą uśmiechnie się do dobrych mebli a ja się tymczasem uśmiecham na ich wspomnienie.

I dlatego, że wiem, co to smutek i uczucie samotności, chciałabym wszystkie dusze smutne rozweselić, bo daleko lżej smucić się... na wesoło. Kto się czuje samotnym, niech się otoczy dobrymi myślami i samotność swą niemi ożywi. Kto widzi wady w swem otoczeniu w swych bliskich, niech ich kocha mocno i radośnie, a napewno ta miłość i wesele stopią zło, jak słońce topi w tej chwili śnieg i lód na mojem oknie (nie „weneckiem”). A teraz ot właśnie wiosna idzie i dobre, radosne święto Zmartwychwstania i ożywa cała przyroda — jakże być smutnym! Nie, siostry kochane, precz ze smutkiem. Nauczmy się radować czemkolwiek, bo każda z nas ma w życiu odrobinę choć słońca i wesela. Rozszerzmy ją, umocnijmy, oceńmy jej wartość a będzie nam lepiej i uśmiechniemy się do życia... naprawdę.

P. Marja Kondyjowska — Ódrowąż.

Codziennie budzi mnie od świtu łoskot drzew, upadających pod ciężarem nieustępliwych siekier, czyniących zadość woli swych wykonawców.

Kto żył się z lasem i niejedną myśl powierzał jego poszumom, kto czerpał z nich siłę, pozwalającą duszy poprzez szarą codzienność przerzucić most wyrozumienia dla cudzych dusz, ten zrozumie, czem na-

jąca widok tych padających olbrzymów, które pa-
miętają niejedną krwawą zachód w okresie zmagani
narodowych, niejedno zamierające przedwcześnie
u stóp ich młode życie. Niestety, obszary leśne, pod-
legające prawom serwitutowym, są najniebezpiecz-
sze — nie objęte żadną opieką (choćby dla uszanowa-
nia tradycji), radością napełniają jedynie szczęśli-
wych posiadaczy, którzy z jaknajszybszym pośpie-
chem dokonywują dzieła zniszczenia, przetapiając
ich rozłożyste konary na bilon, by później wyluskały
go z ich twardej, spracowanej dłoni całe rzesze tan-
deciarzy.

Przypatrując się zbliska i zdaleka tej masowej
wywóźce, pytam jednego z szczęśliwych posiadaczy
wielkiego obszaru lasu: „A wasze domy? nie myślicie
o ich budowie?“. „Owszem, wybudujemy, lecz z ce-
gły, będą tańsze i lepsze, i ładniejsze — kamienice!“.

Kamienice... Przychodzi mi właśnie na myśl je-
dna z nich, przed rokiem już powstała, pierwsza zwi-
stunka nowych, zacząć się mających budować „ka-
mienic“. Parterowy dom z pewną nieudolną aspiracją
wykorzystania poddasza, o trzech pokojach, z ku-
chnią włącznie, rażący zdaleka nieotynkowanymi ścia-
nami, przez przygodnych murarzy, po części przez
pomysłowego właściciela wybudowany. Czy zgodnie
z przepisami ustaw budowlanych i wymogów hig-
jeny? Nikt w to nie wglądał, ani o to pytał. Ten
przedmiot zawiści wszystkich mieszkańców, o cien-
kich ściankach i tak tandetnie zbudowany, daje się
już odczuwać gospodarzowi. Zła konstrukcja przewo-
dów robi swoje, piece nie ciągną, gospodarz zniechę-
cony chce nieudaną budowlę sprzedać, a korzystając
z otrzymanego właśnie drzewa serwitutowego, wybu-
dować domek drewniany. Czy zrobi to zgodnie z prze-
pisami budowlanymi i wymogami higieny? Tak, jak
poprzednio, nikt w to nie wejrzy, nikt się nie zapyta.
Jaka jest zatem perspektywa dla budujących się
w przyszłości wsi, zwłaszcza wobec przewidzianej
zmiany w materjale drzewnym i zapotrzebowaniu te-
goż na przyszłość? Tak jakoś kwestję wsi traktujemy,
mimo wszystko, po macoszemu. Od wielu już lat je-
dynam ośrodkiem życia stają się miasta, wieś zesła
dziś do roli bardzo prozaicznej — jest tylko żywicie-
lem! Miasto jest wszystkim dla człowieka współcze-
snego, mózgiem narodów i społeczeństw. A wieś? Wieś
stoi dziś na rozdrożu i niewiadomo jaką drogę obie-
rze, w rozwoju potężnym i nieograniczonym miast
tak osamotniona.

Prostota, estetyka, racjonalność, higiena są ha-
słami architektury dnia dzisiejszego. Mamy miasta
ogrody, miasta spokoju i odpoczynku po wyczerpu-
jącej pracy, a wieś!...

Odarta z najpiękniejszej ozdoby, jaką jej daje
las, zabudowana rzędem chat w części zmurszałych,
wyczekująca na nowe, a często posiadająca już ta-
kie, które rażą niesmaczną budową i nieotynkowa-
nymi ścianami, mało zadrzewiona — wieś jest kop-
ciuszkiem, odbijającym jaskrawo od dzisiejszych
miast. Wprawdzie tę samą obojętność dla racjonal-
nie zbudowanych wsi wyczuwa się i zagranicą. Była
międzynarodowa wystawa miast w Göterborgu w 1927

roku, później w Amsterdamie. W obu wzięło udział
około 500 fachowców z tej dziedziny, reprezentują-
cych 20 różnych państw, wreszcie w Wiedniu i wszę-
dzie ta sama zasadnicza kwestja rozbudowy miast,
całkowicie pomijająca sprawę wsi. Że jednak prze-
obrażenie wsi polskich musi nastąpić, choćby ze wzglę-
du na wspomnianą zmianę w materjale budowlanym,
to kwestja tej budowy przedstawia się jeszcze go-
rzej. Wiadomo bowiem, iż wieś żyje odpadkami kul-
tury miast, i istnieje poważna obawa, że wieś naszą
odbudowywać będą ludzie, którzy z racji swego nie-
dołęstwa nie znajdują zajęcia w mieście, lub obcy, nie-
znający i nie szanujący naszych tradycji, ani upo-
dobań. Może przy odbudowaniu wsi w ten sposób,
koszty będą mniejsze, lecz piękną i zdrową być ona
przestanie. Sądzę, że społeczeństwo zda sobie z tego
sprawy, bo niezalutnienie tej kwestji będzie sympto-
mem nietylko złego życia gospodarczego, lecz i fatal-
nym w skutkach zjawiskiem kulturalnym i wycho-
wawczo-społecznym. Nie będzie zresztą trudnym zle-
mu zaradzić, o ile zamanifestują się dobre chęci i do-
brzy architekci, którzy potrafią połączyć piękno i tra-
dycję z dzisiejszymi wymogami higieny. Bo nie ulega
wątpliwości, że konieczne jest kierownictwo wyszko-
lonych, rozumiejących wartość czynników artystycz-
nych i czujących styl polski. Wszakże epoka nasza
stawia zasadę samowystarczalności i usuwania wpły-
wów obcych. Dla nas Polaków, którzy naród uważamy
za twór żywy i doceniamy jego ścisłą łączność z na-
stępującymi po sobie pokoleniami, nie powinno być
obojętne, że wieś w stosunku do miast razi swą dys-
proporcją. Pracując świadomie, zespalać wysiłki
wszystkich jednostek, niezapominajmy o swej odpo-
wiedzialności dziejowej wobec pokoleń, które zreasu-
mują kiedyś naszą ekspansję wytwórczości.

Miejmy jednak nadzieję, że kwestja ta nie jest
obcą społeczeństwu, a może nawet kompetentne czyn-
niki pracują już nad planowemi pokazami nowoczes-
nych wsi polskich, celem wysłania tychże na zbli-
żającą się Powszechną Wystawę Krajową.

I choć termin zrealizowania odbudowy wsi pol-
skiej w duchu XX wieku, jest może jeszcze daleki,
miejmy nadzieję i wiermy, że w razie potrzeby cał-
kowicie odpowiemy zadaniu, choć ciężka to będzie
praca.

I jeszcze jedno. Do pracy tej powinny stanąć
siły kobiece. W ostatnich czasach dosyć znaczna liczba
słuchaczek politechniki zapisuje się tamże na archi-
tekturę. Jest to objaw bardzo pożądanym. Oby tylko
znów te młode siły zechciały poświęcić uwagę wsi
i jej budownictwu, nie ograniczając wykonywania
swego fachu do miast wyłącznie.

P. Wera Tropaczyńska—Mogilica.

„Bardzo nam było smutno, gdy nasza Pani, dr.
Spoczyńska, przeczytała nam list o biednych dzie-
ciach. Postanowiłyśmy urządzić zbiórkę, żeby je zao-
patrzyć w najpotrzebniejsze rzeczy, a również i Szan.
Pani zrobić niespodziankę...“.

I urządziły niespodziankę:

„Z pierwszą paczką wysyłaną na Kresy Wschodnie, zasylamy kochanym rodzicom serdeczne pozdrowienia — Dzieci kl. I. gimn. żeńskiego w Królewskiej Hucie“.

I przychodzą oto listy co jakiś czas, a w nich okruczeństwa, głośno na niedolę bijących serduszek, serdeczne słowa współczucia — dziecięcą, nieuczoną wypowiedzianą mową.

Żałuję wyrazów dla wysłowienia tego, co czuję pisząc ten list, bo boję się, by nieudolnym jakowemś słowem nie urazić serc — i ofiary.

Niech mówi za mnie gromadka listów przedemną na stole leżąca — ja podam suche tylko fakty. Zorganizowała się oto pomoc. „Kresy południowo-zachodnie, Kresom Wschodnim“.

Dzieci kl. I gimn. żeńskiego w Kr. Hucie, pod kierownictwem p. dr. Heleny Spoczyńskiej, „swojej Pani Gospodyni klasy“, taką „na ten rok przedsięwzięły społeczną akcją“. Porozumiały się ze mną listownie i — przysłały paczkę z ubraniami i przyborami szkolnymi.

No — i najbiedniejsze z biednych już mają w czem przyjść do szkoły i najbardziej krytycznie usposobione uwierzyły, że Polska jest, bo są takie dzieci z Królewskiej Huty. I piszą listy. Te małe białoruskie pisklęta, które na każdą moją odezwę do ich „polskich“ serc uśmiechały się kiedyś nieufnie, teraz prześcigają się w ładnym i „serdecznym“ napisaniu listu do „Kochanych Koleżanek“. I mają poważne zmartwienie: „czem my się im odwdzięczymy?“. „Poślemy w lecie jagody!“. A i ojcowie i matki stają już bodaj na życzliwszym stanowisku w ustosunkowaniu się swoim do szkoły, bo przecie „dbają o nasze rebia“! Tak, dbają. Dba jedna szlachetna i zacna dusza o głębokim zrozumieniu obywatelskich uczuć i poruszone przez nią kilkadziesiąt serc dziecięcych. Piękny, humanitarny czyn.

I znów oto powtórzę swoje: Trzeba, żeby nie był odosobniony, boć Kresy są rozległe, i jakie rozległe!... A biedy dużo! nie zaradzi jej jedna, choćby z najgoręcej czujących, złożona klasa. Trzeba frontu zwartego i wspólnoty i trzeba zrzeszenia. Pani Spoczyńska swoim przykładem podała projekt. I tędy wyjście. I tędy droga być może. Zanim zrzeszenia i komitety wyłonią swój czyn, poruszyć trzeba zrzeszenia dziecięce, ukryte w murach szkolnych. I niech pomoc będzie jak ta oto masowa — i niech będzie szybka. Bo sprawa jest nagła. Idzie przednowek — idzie wiosna. A tegoroczna, ciężka zima tych najbiedniejszych nie oszczędziła. Wielu już chleba dla siebie i siana dla koni nie ma. Trzeba kupować. A za co? Więc co? nowa nędza. A w rezultacie wynoszenie umarłych dzieci „na mogiłki“ wioskowe. Było tych pogrzebów sporo zimy ubiegłej. Nie raz w tygodniu, kilka. A wszystko dzieci... dzieci... te z najmniejszych, co nie wytrzymały.

Ponawiam tedy apel do uczuć humanitarnych i obowiązków obywatelskich Wszech-Polski. Niech młodzieńcza zasada: „Kto chce, ten może“ zostanie tu zastosowana, a skutek odpowie zamierzeniom tak,

jak odpowiedział „społecznej pracy na rok bieżący“ garstki dzieci ze Śląska i ich zacnej i światłej wychowawczyni.

P. St. J. P. — woj. warszawskie — W sprawie domowej pracy kobiet.

W kwestji tej, którą poruszały różne panie na łamach „Bluszczu“, chciałabym zwrócić uwagę na stosunek do tej pracy kobiet, pracujących zawodowo.

Zrozumiałym do pewnego stopnia jest fakt, iż mężczyźni, wychowani w warunkach, w których uważało się, że zabawa lalką jest nieodpowiednia dla chłopca, że przyszyć brakującego guzika do ubrania jest „robotą babską“, do zajęcia kobiet w domu przy gospodarstwie, odnoszą się niewłaściwie, nie uznając go za pracę, gdyż „nie przynosi nic na pierwszego“. Dziwniejszym natomiast jest objaw, że kobiety, pracujące zarobkowo, nie uważają pracy domowej kobiet tak, jakby należało.

Niewszystkie przecież kobiety, które mają zajęcia poza domem, są do tego zmuszone niewystarczającymi dochodami męża: wiele pracuje dlatego, ponieważ całodzienne przebywanie z dziećmi męczy je, że zajęcia się gospodarstwem uznają za coś przykrego, nieestetycznego i nieodpowiedniego dla siebie. Takie kobiety wolą przelać pracę w domu na kogoś innego, a w stosunku do tych, które same zajmują się gospodarstwem, czują się wyższymi i — nierzadko traktują nieco z góry swoją dawną koleżankę, która opuściła zajmowane stanowisko z chwilą wyjścia z domu, lub kiedy na świat przyszło maleństwo.

Jak wywiązuje się ten ktoś inny z zajęć poleconych mu przez kobietę-matkę, pracującą zarobkowo, zdaje się, wszyscy o tem wiemy. Najlepszym wyjściem jest, gdy domem i dziećmi zajmie się ktoś z rodziny, ale jak inaczej robi to wszystko płatna służąca! Dzieci nabierają złych manier, nie mówiąc już o tem, że umyślowo nie mogą dostatecznie rozwijać się pod kierunkiem osoby nieinteligentnej. Budżet zaś domowy wykazuje zaduże rozchody, bo służąca nie oszczędza nieswoich pieniędzy. Pani domu, nie chcąc przez uszczuplenie wydatków, narazić dzieci na brak drugiego śniadania lub obiadu podczas jej nieobecności, płaci wszystkie rachunki. Służące bowiem z niczem się nie liczą i potrafią „oszczędzać“ nawet na dzieciach, gdy tego wymaga ich interes własny.

I takie panie domu często czują swoją wyższość nad temi, które zrozumiawszy całą niewłaściwość i niekorzyść, płynącą z gospodarowania płatnej wyręczycielki, same zajmują się domem, poświęcając nieraz swój ulubiony zawód. Jakże często spotyka się zdanie: „Pani ma czas“, co znaczy „ja czasu nie mam, bo mam zajęcia, pani ma czas, bo nie ma pracy zawodowej“.

Winą nieposzanowania pracy domowej jest, być może, brak odpowiedniego wychowania. Małą dziewczynkę posyła się do szkoły, gdzie uczy się różnych przedmiotów, nie mających nic wspólnego, albo bardzo mało, z zajęciami gospodyni i matki. Jako panna kończy (albo nie) kursa fachowe lub uniwersytet,

szykuje się zatem do zawodu buchalterki, korespondentki, nauczycielki i t. p., a nie ma pojęcia, co ją czeka po zamążpójściu i nie jest do tego przygotowana. To też taka osoba pracę w biurze czy szkole traktuje poważniej, niż ciąglą krętaninę koło ogniska domowego.

A ileż to pani domu musi namyśleć się, nakombinować, przedstawiając kilkakrotnie pozycje, aby budżet domowy nie wykazał niedoborów — i to wszystko nie jest uznane za pracę lub za bardzo niewielkie zajęcie, dlatego tylko, że spełnia się we własnym domu, a nie w biurze.

Niezrozumienie, niedopatrzenie oraz pewnego rodzaju lekceważenie spotyka się nietylko ze strony mężczyzn, ale i kobiet tych, które są w warunkach o tyle szczęśliwszych, że za odpowiednią ilość godzin dziennie, poświęconych jakiejś instytucji lub państwu, otrzymują wynagrodzenie materialne, czego nie ma kobieta, wprzęgnięta w całodzienną krzątanię w domu.

Chciałabym jeszcze zwrócić uwagę, że praca matki-gospodyni jest równie ważną, jak zawód nauczycielki, biuralistki, pielęgniarki i t. p., bo łączy w sobie potrosze te zawody.

Niech zatem kobiety nietylko nie wstydzą się swych zajęć, ale niech wiedzą, że patrzą na nie dzieci, u których zamiłowanie obowiązku, ład i porządku będzie takie, jakie wszczepliła w nie matka-gospodyni i jakie widziały w domu rodzinnym.

P. A. M. — Kraków.

Zdała od śródmieścia, w Kazimierzowskiej dzielnicy naszego miasta — zajmuje całą jedną stronę ul. Piekarskiej „Dom Pracy“. Z instytucją tą chciałabym zapoznać szersze koła kobiet, ze względu na jej wszechstronność i wzorowość — a przede wszystkim niesłychanie owocną działalność. Sprawność „Domu Pracy“ i jego organizację można postawić za wzór niejednej podobnej instytucji.

Główny budynek skromny, dwupiętrowy, mieści obok biura administracyjnego internat dla 80 dziewczynek, utrzymywanych tam kosztem gminy miasta Krakowa. Są to uczennice, uczęszczające do szkół miejskich.

Właściwy „Dom Pracy“ mieści się w szeregu innych budynków. Celem jego jest przysporzenie społeczeństwu wyszkolonych i samodzielnych kobiet, przygotowanych do znoszenia trudnych warunków życiowych. Rozumiejąc, że do osiągnięcia tego celu potrzeba jest szeregu lat systematycznej nauki i gruntownego wychowania, „Dom Pracy“ posiada u siebie te wszystkie instytucje, które od dziecka do wieku dojrzałego wychowują kobietę. Przede wszystkim zatem Ochronka dla najmłodszych. Liczy ona obecnie 32 dzieci w wieku od 1½—6 lat.

Wychowanie i opieka nad nimi spoczywa w ręku SS. Szarytek — wywiązujących się z tego zadania

znakomicie. Dzieci uśmiechnięte, wesole a co najważniejsza — wyglądające znakomicie.

Już w tym najmłodszym oddziale znać, że jest to cząstka „Domu Pracy“. Do zabawy, rozwijającej pomysłowość i inteligencję u dzieci, wpleciona jest odrobina pracy. „Starszyzna“ (od 4 do 6 lat) wprawia się pomalutku, wyrabiając ładne guziczki niciane.

Starsze dzieci, wychodzące z ochronki, przechodzą dalszy etap, uczęszczając do szkoły, a potem do całego szeregu zakładów rzemieślniczych, mieszczących się również w obrębie „Domu Pracy“.

Przedewszystkiem zatem, znana dobrze w Krakowie szwalnia, przy której jest na dwa kursy podzielona szkoła szycia. Szwalnia wykonywa wszystkie roboty w zakresie białego szycia wchodzące, i zadawalnia najwybredniejsze nawet gusty. Dalej pralnia, na szeroką skalę urządzona i wyposażona w najnowsze w tej dziedzinie zdobycze techniczne, jak: kotły obrotowe do gotowania, wirówki do wykręcania bielizny, magiel mechaniczny, suszarnie sztuczne i t. d. i t. d.

W osobnym budynku mieszczą się tkalnie, przędzalnie, pracownie kilimów, kołder, materaców, trykotów, pończoch, a więc warsztatów uczących tego wszystkiego, co kobieta pracująca umieć powinna.

Z wiadomości, z których może niejedna z Pań skorzysta, zaznaczyć należy, że „Dom Pracy“ przyjmuje surową wełnę do przeróbki na kilimy, chodniki, trykotaże i t. p.

Przechodząc te wszystkie działy i szkoląc się w ten sposób — staje się małe dziecko doskonałą pracownicą, jednostką, z której napewno społeczeństwo będzie mieć korzyść.

Osobnym działem „Domu Pracy“, jest opieka nad starszami bezdomnymi. Część z nich ma tu dożywnie pomieszczenie i opiekę, część zaś lekką pracę ręczną. Prowadzone jest też ambulatorjum dla najbiedniejszych tej dzielnicy, oprócz pomocy lekarskiej — znajdują biedacy gorącą strawę i słowo pociechy.

Cały zakład utrzymuje się prawie wyłącznie samodzielnie, t. j. z dochodów z pracowni, i z niewielkiej subwencji gminy miasta Krakowa.

Tych kilka słów nie zilustruje dokładnie całego systemu „Domu Pracy“. Jest w nim tyle radości i słońca, że naprawdę wychodzi się stamtąd pokrzepionym na duchu.

P. Wanda T. z Warki—w odpowiedzi p. A. M. z Krakowa.

Dziękuję Sz. Pani za radę i wskazówki. Do Paraski Skriblak już napisałam. Jeśli Sz. Pani jest tak uprzejma i może się dowiedzieć, na jakich warunkach odsyła się wełnę do zamiany na materję, bardzo bym o to prosiła.